№ 18 Warszawa, dnia 18 (30) Kwietnia roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

TREŚĆ: Oracz. — Bohaterki Kalidasa i Bohaterki Szekspira. — Wanda. — Prusacy w Frankfurcie. — Modlitwa. — Trzy miesiące w Chorwacyi. — Z kraju i z zagranicy. W Dodatku: Pełnoletność panny Bridot, przez Karola Deslys przekład K. P.

ORACZ.

(Z tematów ludowych.)

Zdala po za Wisłą,
Pod lasem u strugi
Ledwie słonko błysło,
W polu orzą pługi.

Boć orze jak może
Ów ludek kochany,
By pod ziarno Boże
Przygotować łany.

* * *

Jeden z nich nad smugiem
Wstrzymał wołki małe,
Bo pono swym pługiem
Trącił kości białe.

Nie dziw — boć tę rolę
Orano kulami,
Nie dziw — boć to pole
Zasiano Szwedami.

* * *

Oracz wspomniał bitwę
I westchnął do Boga —
I posłał modlitwę,
Za brata i wroga.

Westchnął przy mogile,
Ludzkić to uczynek,
Więc dodał za chwilę
„Wieczny odpoczynek".

Karol Kucz.

Bohaterki Kalidasa
i
Bohaterki Szekspira.

Wiele, wiele jeszcze czasu upłynąć miało do pojawienia się Szekspira; wielka Brytania jęczała jeszcze pod jarzmem cezarów, i kiedy Celtowie w cieniu lasów budowali swe chatki, starożytne Indye cieszyły się już wysoką cywilizacyą, posiadały sławnego dramaturga znanego pod nazwiskiem Kalidasa, i utworom jego przyklaskiwało ukształcone, wysokim polorem odznaczające się społeczeństwo. Długi szereg wieków oddzielał poetę indyjskiego od angielskiego, dotąd jednak ani jeden, ani drugi nie znaleźli godnych siebie współzawodników.

W jakże to sprzecznem zrodzili się otoczeniu, w jak odmiennych żyli warunkach obaj wielcy poeci! Kalidasa ujrzał światło dzienne w tych gorących strefach, gdzie chmury sprowadzające deszcz uważane są za dobrodziejstwo niebios, gdzie przyroda roztacza tak hojnie cuda podzwrotnikowej roślinności. Szekspir przyszedł na świat na mglistej wyspie, której słońce tak skąpo swoich udziela promieni, i która tylko pracy człowieka zawdzięcza swą urodzajność i bogactwo. Autor *Sakuntali* żył wśród tej rassy aryjskiej, bystrej, sprytnej, giętkiej, skłonnej do pochlebstw, oswojonej z wyrafinowaną cywilizacyą — autor zaś Hamleta wzrosł wśród ludu wolnego, energicznego, szorstkiego, szczerego, otrząsającego się zaledwie ze średniowiecznego barbarzyństwa. Poeta indyjski władał z łatwością bogatym i harmonijnym językiem, sanskryckim, naginającym się do wszelkich wymagań myśli — poeta angielski pisał w języku ostrym, twardym, na którym duch saksoński odbił szorstkie swe piętno. Wyznawca przerodzonego zmysłowego kultu Kalidasa był dworakiem azyatyckiego monarchy, Szekspir przeciwnie, słuchał surowych kazań i nauk reformy i był protegowanym przez dumną i absolutną Elżbietę. Ale ani czas ani miejsce nie zmieniają natury i głębi serca ludzkiego, ani geniuszu poety, i dlatego Kalidasa i Szekspir zbliżają się do siebie pod wielu względami; obaj celują wybornem obrazowaniem namiętności ludzkich, a szczególniej miłości. Z tego to tak wdzięcznego stanowiska naszkicujemy porównanie utworów dwóch tych wielkich mistrzów.

Trudno oznaczyć z pewnością epokę w której żył Kalidasa, gdyż indyjscy historycy nie zgadzają się pod tym względem; trudność tę powiększa jeszcze ta okoliczność, iż w następnych wiekach najznakomitszym poetom nadawano jako zaszczytną nagrodę nazwisko Kalidasa: tak więc wśród wielu fałszywych niełatwo odszukać prawdziwego. Najpoważniejsze źródła wnosić każą, iż urodził się między II-im a III-im wiekiem ery chrześciańskiej w mieście Udżajini, kryjącem się wśród gór po nad rzeką Sipra. Otoczony opieką monarchy wyższym obdarzonego umysłem i najwykwintniejszym zbytkiem wschodnim, żył spokojny na łonie brahmańskiej cywilizacyi, oddany z zamiłowaniem swej sztuce.

Pojawił się właśnie wówczas gdy walki religijne szarpały społeczeństwo indyjskie, z powodu wprowadzonych przez Budhę reform w doktrynach. Odrzucano starożytne Wedy, te święte księgi pasterskiego ludu; panteizm rozwielmożniał się przeważnie, wznoszono ołtarze rozlicznym bóstwom, których olbrzymie postacie przechowały się dotąd w grotach Elefanta. Język sanskrycki przestał być wyłącznie językiem świętym; obyczaje znacznej podległy zmianie, zaginął w nich nawet ślad prostoty pasterskich Aryasów. Od brzegów Gangesu do ujść Indusu dwory azyatyckie współzawo-

dniczyły z sobą przepychem, zniewieściałością i zbytkiem. Jednakże rozwolnienie obyczajów nie ogarnęło całych mas ludu; wielożeństwo zaledwie było tolerowane; wrodzona cześć dla rodziny oczyszczała i uszlachetniała miłość. Jakkolwiek prawo Manu surowemi i przerażającemi słowami określa stanowisko żony, nigdy jednak Indyanin towarzyszki życia nie uważał za niewolnicę; to matka jego dzieci, to w rodzinie potęga, której przekleństwo straszniejsze jest nawet niż przekleństwo głowy rodziny.

Kalidasa żył na dworze wśród magnatów, gdzie zazwyczaj obyczaje nie bywają wzorowe, to też odbiło się to w niektórych ustępach jego utworów i dlatego także mógł przedstawić pewną tylko część ówczesnego społeczeństwa. Sztuka dramatyczna nie stanowiła w Indyach zabawy ludowej nie było tam tych olbrzymich aren, w jakich sto tysięcy widzów przyklaskiwało utworom Sofoklesa lub Arystofanesa. Duma kastowa nawet zabawie nieprzebytą stawiała zagrodę. Czyż dumny brahman mógłby zezwolić na to, aby śmiał się lub płakał razem z maluczkiemi, od których tak bezgraniczna dzieliła go przestrzeń? I dlategoto widowiska sceniczne przeznaczone były wyłącznie dla klas możnych i oświeconych, a poeci przejęci ideami arystokratycznemi, zapełniali utwory swoje dowcipnemi alluzyami do dziejów bogów i kraju, i same znakomitości w nich przedstawiali. Wrazie potrzeby i bogowie przyjmowali udział w akcyi dramatycznej i nawet niekiedy raczyli zstępować na scenę, a przecież nie mogliby tak się trudzić dla prostego ludu!

Jak w Grecyi tak w Indyach przedstawienia teatralne nie odbywały się stale, i dawane były tylko w razie wyjątkowych okoliczności, jak: koronacya króla, urodzenie się syna jego, a nadewszystko uroczystość jakiegoś bóstwa. I dlatego nawet tacy mistrze dramatyczni jak Kalidasa i Bavabhuti nie napisali więcej jak po dwa lub trzy dramata, chociaż znowu niektóre są tak długie, iż jeden wielki tom zapełnia. Takie sztuki dzieliły się na dwie części i przez parę dni były przedstawiane.

Pierwszą myśl tworzenia dramatów przypisują Indyanie braminowi Barata, który też ułożył rozległe zasady i przepisy, jakich dramaturg trzymać się powinien. Wogóle dzieli on utwory dramatyczne na dwie klasy, a te znowu na kilkanaście rodzai; przepisuje prowadzenie akcyi, daje zasady na przeprowadzenie założenia, nie pomija najdrobniejszych szczegółów. Skrępowany niemi dramaturg musi trzymać na mocy swoją wyobraźnię, niewolno mu uciekać się do efektownych pomysłów. Jedności czasu i miejsca Bharata nie uważa za niezbędną, ale zato nie pozwala nadawać bohaterom wad lub przymiotów niezgodnych z właściwą ich naturą. Wyjątek od tej reguły stanowią tylko przeniewierzenia miłosne; jakiś książę lub bohater, może bez ujmy godności swojej ukrywać zboczenia serca przed zazdrosną kochanką. Ale zato nigdy *Parakcya*, to jest cudza żona nie może być przedmiotem intrygi dramatycznej. Dla Indyan obraz wiarołomstwa małżeńskiego nie stanowi godnego zajęcia przedmiotu, kobieta-żona to świętość której poecie tknąć niewolno. Coby poczęli współcześni dramatyczni pisarze, gdyby zniewoleni byli stosować się do tej reguły!

Niedość na tem, żadne krwawe sceny nie mogą być przedstawiane. Osobom występującym w dramacie wolno jest bić się i mordować, ale za oczami widzów. Nie mogą na scenie popisywać się z konaniem i strasznych i przykrych przedstawiać obrazów. Umierają sobie cicho i przyzwoicie po za sceną, i tylko ktoś opowiada publiczności co się stało. W ileż to wieków później Boileau napisał w swojej „Art poétique":

„Są przedmioty, które, idąc za głosem rozsądku, sztuka może powierzyć uszom, ale powinna ukrywać je przed wzrokiem."

Jak za czasów Szekspira w Anglii, tak i w Indyach dekoracye, akcessorya i wystawa wiele pozostawiały do życzenia. Kilka siedzeń, tron, wozy ciągnione przez żywe zwierzęta — oto i wszystko. Niebiosa otwierają się niby niekiedy, daje się słyszéć odgłos piorunów Indry, ale biedne bóstwa musiały się zadawalniać bardzo pierwotną maszyneryą. Zato kostiumy wiernie były odtwarzane. Dało to powód do zabawnej legendy, po dziś dzień powtarzanej.

„Kiedyś, dawno, dawno już temu, wędrowni komedyanci przebywali górę Balasena, znaną z tego, iż uczęszczaną bywa przez złe duchy. Noc zapadła, chcąc nie chcąc musieli tam przenocować. Rozpalono wielki ogień, gdyż lodowaty wiatr dął dokoła, i nareszcie zasnęli. Wtem jednemu zimno tak dokuczyło, że się obudził; nie mając czem się przyodziać, przyszło mu na myśl przywdziać swój strój teatralny, w którym przedstawiał Rakchasa czyli szatana. Gdy przebrany zasiadł przy ognisku, kilku kolegów obudziło się przypadkiem i ujrzawszy pewni byli, że zły duch zasiadł między nimi. Krzyk ich zbudził resztę towarzyszy i wszyscy zdjęci niewypowiedzianym przestrachem porzucają wszystko, zmykając co sił stało. Zadziwiony fałszywy szatan, zaczyna ich gonić, co naturalnie zwiększa ich przestrach — i tak całą noc oni zmykają, on ich goni, aż dopiero gdy dzień zajaśniał poznali doskonale ucharakteryzowanego kolegę.

Mężczyzni nie przebierali się za kobiety; rolę Sakuntali albo wieszczki Urvasi odgrywały piękne Indyanki. Artyści cieszyli się poszanowaniem publicznem, byli przyjaciołmi poety, który znów przestawał poufale z mędrcami i królami.

Teraz jeszcze wejdźmy do *Sangita sala* w której odbywały się przedstawienia teatralne. Wyobraźmy sobie, że w Udżayim dwór obchodzi uroczystość Sivy, bożka-niszczyciela i strasznej jego towarzyszki Kali. Dzień ma się ku schyłkowi, promienie słoneczne słabną, Indyanin otrząsa się z przygniatającej go ociężałości. Dziedziniec wyłożony mozajką, pokryty jest namiotem; podtrzymujące go filary, są przybrane bogatą materyą i girlandami kwiatów; kadzidła płoną w srebrnych kadzielnicach; błękitnawe kłęby dymu drzewa sandałowego wirowato wznoszą się w górę; tryskające w górę wody orzeźwiają powietrze i spadają do marmurowych basenów, w których prawie maczają swe błyszczące skrzydła. W środku sali stoi tron lśniący od złota i kamieni. Po nad głową panującego piękne niewolnice powiewają wachlarzami z czamary i palmowych liści. Po lewej stronie tronu, zajęły miejsca huryski haremu w kosztownych strojach; czoła ich uginają się pod ciężarem klejnotów.

Prawa strona przeznaczona jest dla osób znakomitych; dalej, stosownie do swego stanowiska, grupują się poeci, astrologowie, doktorzy, chwalcy i przeróżni urzędnicy azyatyckiego dworu. Purpurowa zasłona oddziela widzów od sceny; ukryci w gaiku mangowcowym niewidzialni muzykanci odgrywają przygrywkę... Wtem król skinął, zasłona się rozstępuje *), główna artystka wchodzi na scenę i oddawszy pokłon dostojnej publiczności, rozpoczyna swoją rolę. To urocza i poetyczna *Sakuntala*.

Dopiero w 1600 lat po napisaniu tego dramatu, dzięki przekładowi na język angielski, dokonanemu przez p. Williama Jones w 1789 r., któryto przekład przetłomaczony został w 1791 r. na język niemiecki, Europa mogła podziwiać piękny utwór genialnego indyjskiego poety, o którym Goethe napisał:

„Jeźli chcesz jednem słowem wyrazić kwiaty wiosny i owoce jesieni, niebo, ziemię, i zapachy lasu, wszystko co unosi i rozrzewnia, co wzrusza serce i raduje umysł, wymień nazwę Sakuntala — w niej mieści się to wszystko."

(D. c. n.)

*) U Indyan zasłona teatralna nie podnosi się, tylko rozsuwa na dwie strony.

WANDA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Na podaniach polskich osnuty,

napisany wierszem rymowym

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Z muzyką do kilku pieśni

ś. p. St. Moniuszki.

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

Akt IV.

(Dalszy ciąg).

Scena czwarta.

(Prawą stroną namiotu wchodzi Baba-Jaga pomacku, prowadzona przez Leszka.)

BABA-JAGA.

Jest tu kto?... Wszak to namiot Rytygierza?

LESZEK.

Tak. Widzisz, tutaj nie ma tego zwierza —
Czy widzisz, matko?

BABA-JAGA.

O! nie widzę dziecko.

LESZEK.

Może i piwo wypił mi zdradziecko?...
A! nie.

(Pije.)

Ja ongi byłem syt na tronie,
A dziś podobnym — ha, ha, ha! téj wronie,
Co po czerepach wątlic dziobem stuka.

(Stuka w dzbanek.)

Puk, puk, puk! Kto tam? — Wrona żeru szuka.

BABA-JAGA.

Nie śmiéj się, synu, tym jękiem puszczyka...
Ach! twój śmiech dziwnym strachem mię przenika,
Twój śmiech to granie śmierci na piszczelu,
Gdy trupy tańczą na martwém weselu...
Twój śmiech zwołuje zbrodnicze straszydła;
W dołach mych oczu szeleszczą ich skrzydła,
A ty mnie dręczysz wspomnieniem jak zmora!

LESZEK.

Bo téż wam śmiesznie z oczami upiora.

BABA-JAGA.

Przedemną, za mną przepaści, otchłanie!

LESZEK.

Matko! mnie język usycha w gardzielu, —
Daj mi jeść, — byłaś na trupiem weselu.

BABA-JAGA.

Boże Perunie! ty słyszysz me łkanie.
Straszne twe sądy, — ale sprawiedliwe;
Przetnij zgryzoty i lata sędziwe;
Lecz jeszcze nie czas...

LESZEK.

Prawicie tak gładko,
A mnie się jeść chce, jeść mi się chce, matko!

BABA-JAGA.

Mam tu sen-ziele, przyniosłam je właśnie,
By mu do dzbanów wsypać je tajemnie;

(Poomacku natrafia na dzbanki i wsypuje w nie ziele.)

Gdy pić z nich będzie, to kamieniem zaśnie, —
Niech tę przysługę dziś mają ode mnie
Rodacy moi, za me wszystkie zbrodnie.
Gdy wódz spać będzie, nasi wręcz, a zgodnie
W obóz uderzą. Innym w tajemnicy
Téż zaprawiłam tam piwo.

LESZEK.

Mnie trzewia
Głód szarpie. Jeść, jeść!

(Pada osłabiony.)

RYTOGAR *(wracając do namiotu z Knechtami.)*

Dziwna! niektórzy już spali strażnicy?...

(Spostrzega Babę-Jagę.)

Co to jest? Kto ty jaszczurcze nasienie?
Miast oczu, w dołach skrzą piekiel zarzewia!

BABA-JAGA.

To ja, ta sama jędza, co wam łoni
Całą sprzedałam mą istność, me tchnienie,
I miecz zbrodniczy dałam Leszka dłoni.
Bogdajbym ziemię wprzódy jadła w grobie,
Zanim w czemkolwiek pomagałam tobie,
Przyjdzie nakoniec nam obojgu razem:
Zdechnę, ty zdechniesz, oby pod żelazem!

(Wychodzi poomacku.)

RYTOGAR.

Wy nędzne knechty! pod jakimż urokiem
Trzymacie wartę z zasklepionem okiem?

(Wskazując na leżącego Leszka.)

Wygnać za obóz!

KNECHT 1-szy *(wyciągając osłabionego Leszka za namiot).*

RYTOGAR *(pije z dzbana).*

Jutro, ha! od rana
Walka z Lachami i nasza wygrana!
I Wanda moją...

(Zasypiając z dzbanem w ręku, upuszcza go na ziemię. Po chwili słychać zdala trąby).

KNECHT 2-gi *(wpadając).*

Książę! Na obóz nasz Lachy napadły.

RYTOGAR *(budząc się z trudem).*

Co? Lachy!

(Bierze nagle hełm na głowę.)

(Świta. Słychać bliżéj odgłos trąb i bicie w kotły.)

Zdepczem ród chłopów zajadły!

EGBERT *(za sceną).*

Do broni!

(Wpada.)

Książę, już czoło złamane,
Ukaż się wojsku.

RYTOGAR *(włożywszy hełm na głowę i przypasawszy pośpiesznie miecz).*

Twe dłonie krwią zlane?
Gdzie Ulryk?

EGBERT.

Ranion, przez Lechów pojmany.
Napadli milczkiem. Dziwna! Straże spały,
I Lachy odbić już nawet zdołały
Jeńca Bogdala.

RYTOGAR *(wypadłszy lewą stroną namiotu z dobytym mieczem).*

Hej! za mną Allmany.

(Wybiega Egbert i Knechty. Za sceną ciągła trwoga, szczęk oręży.)

SKARBIMIRZ *(za sceną).*

Kupą Mazury! wal młotem jak w dziki,
W bok im Chrobaty końmi!

KILKA GŁOSÓW *(za sceną).*

Psy! Zbójniki!

Scena piąta.

(Wbiega Skarbimirz prawą stroną namiotu, z obnażonym mieczem i młotem przewieszonym przez ramię.)

SKARBIMIRZ.

Serce mi rośnie, widzieć woje dzielne!
Toż biegną do walk, jak w tany weselne.
Lecz gdzie się ukrył wódz zbójeckiéj rzeszy?
Duch się mój szczęściem nadziemskiém ucieszy,
Gdy dłoń ta ostrz mu w podłe lędźwie wrzepi;
Choć dłoń za stara, oko nie prześlepi.

(Wchodzi Bogdal w pełnem uzbrojeniu z młotem przewieszonym przez ramię.)

Jak tam? wciąż dobrze?

BOGDAL.

Przed chwilą w zamęcie
Bój tak tam szumiał, jakby się zawzięcie
Góry ścierały. Już w Wiśle głębokiej
Wrażéj krwi płyną dymiące potoki;
Lecz gdzie jest Wanda?

SKARBIMIRZ.

Miałeś być z nią wszędy?

BOGDAL.

Koń padł mi ranny, mógłżem iść w jéj pędy,
Kiedy chorągwi oskrzydlona ptakiem,
Wśród kurzu wpadła w tłum wrogów, rumakiem?
Głos mi zamiera... Oby w walce krwawéj
Nie padła!...

SKARBIMIRZ

Strasznéj nabyłoby sławy
Zwycięztwo.

RYTOGAR *(wpadając).*

Jeszcze nie wszystko stracone!
Tuście mi gady, knechty spanoszone!

(Napada na Bogdala.)

Niech drogo sprzedam straszne me zawody.

(Bogdal odbija cięcie.)

SKARBIMIRZ.

Junaku! starszym ustępuje młody.

(Do Rytogara.)

Broń się! bo w miejscu cię trupem położę.

(Ścierając się, Skarbimirz i Rytogar opuszczają scenę.)

BOGDAL.

Niech mu Radagost i Łado pomoże!

(Wybiega.)

EGBERT *(wpadając nań u wyjścia).*

Ha! nędznik.

BOGDAL.

Mógłbym cię jak psa tym młotem
Zatłuc, lecz poseł godzien być zgładzony
Od miecza.

EGBERT.

Legniesz i ty pod mym grotem
Jak tam Skarbimirz z tyłu ugodzony
Przezemnie. Daléj!

BOGDAL *(po kilku złożeniach, wytrąciwszy miecz Egbertowi, chwyta go za ramię).*

Stój! Wraży syn, zbrodzien!
Zginiesz na stryczku, boś miecza niegodzien.
O! Skarbimirzu, zgon twój, cny lechito,
Pomszczę. Bogate dziś dam śmierci myto.

(Wyciąga za ramię Egberta lewą stroną namiotu. Słychać przez chwilę muzykę, następnie trąby grające do odwrotu.)

RYTOGAR *(wpada prawą stroną namiotu, zmęczony).*

Straszny! okropny dzień dla Allemanów.
Gdzież twój młot zwycięztw, nasz boski Wodanie!
Czy śpisz snem gadów wśród stęchłych niebianów?
Czy też oślepły na ofiar składanie,
U kolan Holdy miecz zmieniasz w wrzeciono?!
Żelazne męże, wodze moje dzielne,
Na lackich polach gnić wam przeznaczono!

(Słychać okrzyki tryumfu.)

O! jeszcze z garścią mi wiernych piekielne
Gody im sprawię.

(U wyjścia cofa się wzdrygnięty na widok wbiegającéj Wandy z chorągwią w jednéj, a z mieczem w drugiéj ręce).

Scena szósta,

WANDA.

Ha! stój, wodzu dzielny,
Potożeś przebył gór swych grzbiet kruszcowy,
By w kraj nasz cichy wilcze puszczać łowy?
Brak ci tam ziemi, posłańcze piekielny,
Że niecnych łupieztw żądzą oślepiony,
Przyszedłeś zdeptać bujnych zbóż zagony?
Jak straszny upiór, co z pochodnią leci,
Palisz nam lasy, chaty i zagrody,
I ciałem setnych ojców, matek, dzieci
Karmisz robaki, psy, zatruwasz wody!
Nie matka, lecz cię potwór zrodził podły,
Zgiń, gdzie cię roje piekielnic przywiodły,
Broń się!

RYTOGAR *(odbiwszy miecz Wandy, swój opuszcza z pokorą).*

Dziewico! cudna, z nieba wzięta,
Uderz w pierś śmiało, oto odsłonięta.
Stu mieczów błyski są dla ócz mych niczem,
Lecz duch mój przed twem trwoży się obliczem.
Wszelkie marzenie w sny rajskie ujęte,
Królowo! od twych powabów mniéj święte;
Lica twe, jaśniąc słońca promieniami,
Rażą skuteczniéj, niż łuki strzałami.
Walk się nie lękam, świętokradztw się boję!
Nie strach człowieka, lecz uroki twoje
Czcią majestatu nadludzkiego duszę
Mi skrępowały, toż się korzyć muszę.
Teraz odgadłem grozę niepojętą,
Jaką drużyna moja była tkniętą,
Gdyś mieczem błysła jak Wodan zgniewany,
Siejąc uroki na zbladłe Allmany.
Teraz odgadłem ów postępek posła,

Którego lic twych świętość tak uniosła,
Którego ócz twych tak spętały czary,
Że dla nich zerwał węzły przysiąg, wiary.

(Wchodzą Wisław i Gęślarze, kończąc grę tryumfalną. Gromadzą się Lesi i Lud zbrojny w topory, łuki, spisy, składając przed Wandą zdobyte trofea. Wchodzą jeńcy, między którymi Ulryk raniony i Egbert bez hełmu; wszyscy prowadzeni na stryczkach u szyi, niektórzy z nich, zbrojni w miecze i tarcze, okryci są w skóry zwierząt z rogami).

RYTOGAR.

Och! przeżyć hańby méj nie mam już siły;
Toż u otwartéj stanąwszy mogiły,
Przekleństwem hufiec mój piętnuję mnogi,
Co pierzchnął trwożnie do zwycięztw w pół drogi.
A teraz, pani, słuchaj: ten nie kłamie,
Kogo śmierć chwyta już w lodowe ramię, —
Przyjm radę: ktobądź twym mężem zostanie,
Niech mnoży wojska w otwartéj krainie,
Bo zgon mój pomszczą niebawem Germanie...
Inne tam hufce, liczniejsze niż moje,
Już są gotowe na nowe podboje
Lackiéj krainy z twoją ręką pani,
Którą książęta nasi chcą mieć w dani. —
Méj łodzi żagle i ster w zdradnem morzu
Wichr zerwał, ginę, rozbitek, w bezdrożu.
Żegnaj!

(Rzuciwszy się na miecz, pada i umiera.)

WANDA.

Tak złość się sama karząc, ginie!...
Niech dusza jego odejdzie w pokoju
Do krain wiecznych, jeśli krwawe rzeki
Przezeń wylane boskiéj mu opieki
Przychylić zdolne.

WISŁAW.

Takie zbiera żniwa
Zbrodnia, tak ginie dusza mordów chciwa.

WANDA.

W boju Skarbimirz legł śmiercią wsławioną;
Ty więc Bogdalu, uczuć mych dziedzicu,
Przyjm tę chorągiew; wszak pod jéj osłoną
W tłum wrogów wpadłeś z piorunami w licu.
Tura gniewnego moc twe miało ramię,
Toż z gajów świętych laskę po zwyczaju
Otrzymasz, jako wojewody znamię.
Wieszczu Wisławie, w tym dniu pełnym chwały,
Gdy bogom wonna ofiara zapłonie,
Dębowym liściem uwieńczysz nam skronie:
Niech o zwycięztwie kraj się dowie cały,
By lud nasz w węzeł zaplótł się sercowy
Z wianki ślubnemi, któremi nam głowy
W czasie spokoju uwieńczysz w świątnicy —
W czasie spokoju, — bo słyszałeś oto,
Że tam z za Łaby nowi najezdnicy
Idą na kraj nasz. Ach! perły i złoto —
Wszystkie bogactwa wszystkie skarby moje
Chętniebym dała, by zażegnać krwawą
Chciwość sąsiadów. Lecz gdy nam grożą boje,
Czyż własną godzi zaprzątać się sprawą?

BOGDAL.

Więc mnie tam w posły wyślij, cna królowo,
Może powstrzymam te zbójeckie hordy.

WANDA.

Wymownem słowem lub pięścią stalową
Staraj się przeciąć nowe boje, mordy.
Gdyby, o! nie daj Perunie łaskawy,
Niemce znów o mnie bój chciały wieść krwawy,
To wręcz im oświadcz, że śmierć zniosę raczéj,
A nikt mnie żoną Niemca nie zobaczy.

BOGDAL.

Gdyby tak było, iż na losu szalę
Szczęście ojczyzny postawisz, lub swoje,
To... lecz przedwcześnie po co stwarzać żale?
Toż są i w mózgach ich myśli człowiecze,
I oni mają matki, ostre miecze
Ich synów także mogą sprzątnąć z świata...
Pójdę, — dłoń twoja niech tu ślubne splata
Kwiaty na wieńce. Ah! tak lube, nasze. —
Od granic naszych ja wroga odstraszę.

(Wychodzi.)

WANDA.

Czekam téj chwili. Nasz władca gromowy
I złotowłose boginie i bogi
Oby mu róże usłały wśród drogi;
Niech i ja doznam szczęścia, które przecie
I najbiedniejsza z kobiet ma na świecie...

WISŁAW.

Królowo! obrząd sprawmy pogrzebowy.

WANDA.

Więc pójdźmy płakać do wspólnéj łzawnicy
Tych, co polegli obok Skarbimirza;
Spalone szczątki dla zmarłych przymierza
Ze łzą żyjących, zamkniem w popielnicy;
Czas zwolna wszystkich ze śmiercią pożeni, —
Grób i wesele, to bracia rodzeni.

(Wychodzi.)

Koniec aktu czwartego.

(D. c. n.)

PRUSACY W FRANKFURCIE.

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

V.

Myśliwy i pies jego.

Nazajutrz po dniu w którym miały miejsce wyż opisane zajścia, około jedenastej rano dwudziestokilkoletni młodzieniec wyglądający na artystę, wysiadał z wagonu pociągu pośpiesznego na dworcu kolei Brunświckiej, która wychodzi z Berlina o szóstej rano. Zostawił w wagonie bagaże opłacone do Hanoweru, wziąwszy jedynie małą podróżną torbę, do której przytwierdzone było album ze szkicami i taboret pejzażysty. Dalej przypasał myśliwską torbę i przerzucił przez ramię dubeltówkę systemu Lefaucheux.

Miał na głowie szary okrągły kapelusz i nosił ubiór artysty lub też turysty. Tuż za nim szedł piękny czarny wyżeł, nazwany Fryga, którą to nazwę usprawiedliwiał kręcąc się i skacząc wesoło około swego pana. Minąwszy dworzec, młodzieniec skinął na jednokonny odkryty powóz, do którego pies wskoczył natychmiast kładąc się na przedniem siedzeniu, podczas gdy pan jego rozsiadł się na tylnem, w postawie znamionującego człowieka nieznoszącego żadnych niewygód, jeźli ich nie nakazuje konieczność. Następnie rzekł grzecznie i rozkazująco zarazem, tonem jakim zazwyczaj ludzie salonowi przemawiają do niższych:

— Woźnico, zawieź mnie do najpierwszej restauracyi, gdziebym mógł dostać dobre śniadanie. A powiedział to wybornym akcentem niemieckim.

Woźnica skinął głową na znak, że zrozumiał o co chodzi i zawiózł naszego podróżnego do „Hotelu Angielskiego” przy Wielkim-Placu.

Pomimo pełnego wybojów bruku ładnego miasta Brunswick, młodzieniec nie zmieniał nawpół leżącej postawy, pies tylko z trudnością zachowywał równowagę i siedząc na dwóch łapach nie spuszczał oczu ze swego pana, którego zdawał się chcieć zgadywać myśli.

Widać jednak niekoniecznie wygodnie mu było, bo gdy tylko powóz stanął przed hotelem, wyskoczył nie czekając otwarcia drzwiczek, i wzrokiem zdawał się namawiać pana, aby poszedł za jego przykładem. Podróżny wysiadł, zostawiając w powozie torbę i strzelbę.

— Zatrzymuję cię, rzekł do woźnicy, czekaj na mnie i pilnuj rzeczy.

We wszystkich zarówno częściach świata woźnice obdarzeni są cudownym instynktem, mocą którego zwęszą odrazu od kogo co zyskać mogą.

— Niech jaśnie pan będzie spokojny, rzekł mrugając oczami, będę dobrze pilnował.

Podróżny wszedł do restauracyi i usiadł przy stoliku nakrytym na dwie osoby. On zajął jedno miejsce, pies jego drugie; śniadanie trwało z godzinę, a podczas niego podróżny troskliwie zajmował się psem, przemawiał do niego tak czule jakby do kochanki. Pies jadł wszystko prócz zwierzyny i konfitur, bo pierwszej nie jadał jako pies gończy, a drugich nie lubił. Woźnicy podróżny kazał wynieść chleb z masłem i pół butelki wina— tak więc pan, pies i woźnica zarówno byli zadowolnieni.

— A teraz gdzie mam jechać, jaśnie panie? Zapytał woźnica ocierając usta rękawem.

— Doprawdy, niebardzo wiem, będzie to trochę zależeć od ciebie.

— Jakto?... ode mnie?...

— Tak, chciałbym zatrzymać cię czas jakiś!

— Choćby cały rok! jestem na rozkazy jaśnie pana.

— To zadługo.

— No! to na miesiąc.

— Ani na rok, ani na miesiąc, ale na parę dni.

— Tak krótko! myślałem że mnie jasny pan zatrzyma dłużej.

— Ileż żądasz za zawiezienie mnie do Hanoweru?

— To sześć mil ztąd.

— Zapewnie chciałeś powiedzieć cztery i pół.

— Tak, ale droga ciężka, to pod górę, to z góry.

— Droga doskonała, równa jak po stole.

— Bah! widzę nie ma rady z jaśnie panem.

— Przeciwnie, jest doskonały sposób.

— Jaki?

— Być rzetelnym i uczciwym.

— Aha! wychodzimy z innego stanowiska.

— Z którego widać nie zapatrywałeś się.

— Więc niech jasny pan sam oznaczy zapłatę.

— Dość będzie cztery floreny.

— Oprócz zapłaty za kurs od kolei i czekanie przed restauracyą?

— Ma się rozumieć.

— A dostanę co na piwo?

— Ile będzie moja łaska.

— Zgoda! nie umiem powiedzieć dlaczego, ale ufam panu najzupełniej.

— Z warunkiem iż jeźli cię zatrzymam dłużej nad ośm dni, będę płacić trzy i pół florena, ale już bez dodatków na piwo.

— O! na to nie mogę się zgodzić.

— A to czemu.

— Abym, gdy już ze smutkiem przyjdzie mi rozstać się z panem, nie pozbawił go przyjemności zrobienia mi miłej niespodzianki.

— Daj go katu! możnaby myśléć, iż jesteś dowcipnym.

— Jestem nim o tyle, iż jeźli chcę, potrafię wydać się głupim.

— No, proszę!... Zkąd pochodzisz?

— Z Sachsen-Hausen.

— Co to jest?

— Przedmieście Frankfurtu.

— A! wiem, to kolonia saksońska jeszcze z czasów Karlomana, a mieszkańcy jej to poczciwy lud nakształt naszych Owerniaków. Jakże się nazywasz?

— Lenhart.

— No ruszaj Lenhart'cie porachujemy się przy rozstaniu.

— Zgoda!

Powóz ruszył i prędko minął miasto. Dzień był prześliczny; pączki na drzewach porozwijały się, przystrajając je w pierwsze liście. Ziemia przywdziała zieloną szatę; z łąk rozłożonych po obu stronach drogi, unosiła się jakby para powstająca z pierwszych wyziewów wiosennych i woni pierwszych kwiatków; ptaki parami przelatywały z drzewa na drzewo, nosząc pożywienia swoim pisklętom, i podczas gdy samiczka oddana była temu macierzyńskiemu zadaniu, samiec siedząc na najbliższej gniazda gałęzi, roztaczał w powietrzu pierwsze tony hymnu miłości, przy którego dźwiękach przyroda budzi się z uśpienia.

Patrząc na prześliczny do koła roztaczający się krajobraz, młody podróżny zawołał:

— Ach! słuchaj Lenhart, muszą tu być pyszne polowania?

— Tak, tylko że niewolno polować.

— O! w takim razie musi być dużo zwierzyny.

Zaledwie ujechano parę kilometrów za miasto, Fryga, okazujący pewne zniecierpliwienie, wyskoczył z powozu, wpadł w pole z koniczyną i stanął do zwierzyny.

— Jechać czy zatrzymać się? zapytał woźnica, widząc, że podróżny nabija dubeltówkę.

— Odjedź parę kroków — tak!.. teraz stań jak najbliżej koniczyny, odrzekł podróżny, a sam stanął w powozie, o jakie trzydzieści kroków od Frygi z dubeltówką w ręku.

Woźnica przyglądał się z zajęciem; wyraźnie więcej go obchodził myśliwy, niż właściciel zwierzyny i strażnicy.

— A! masz pan widać doskonałego wyżła; na cóż on tak wartuje?

— Na zająca.

— Tak pan sądzisz?

— Jestem tego zupełnie pewny; gdyby szło o pierzastą zwierzynę, poruszałby ogonem.

Jakoż w tej chwili wielki zając zerwał się o trzy kroki od psa, probując ukryć się w koniczynie.

— Kroć-sto-tysięcy! strzelajże pan, krzyknął Frankfurtczyk.

— Nic nie nagli, poczekaj.

Strzelił nareszcie. Zając zatoczył się i padł na wznak. Lenhart chciał pobiedz po niego.

— Nie rusz się z miejsca; widzisz, Fryga stoi ciągle do zwierzyny; omyliłem się, Fryga nie stał do zająca...

— A do czegoż? zapytał zdziwiony Lenhart.

— Do dwóch zajęcy.

— Dalibóg prawda! krzyknął woźnica zobaczywszy drugiego zająca, który powstrzymany w biegu, padł obok pierwszego.

— A teraz, czy już można iść po nie?

— Nie ma potrzeby, Fryga je przyaportuje.

Jakoż pies przyniósł panu najpierw późniéj zabitego zająca, potem pobiegł po drugiego.

— Połóż zające na koźle i ruszajmy.

W kwandrans późniéj wyżeł znów stanął do zwierzyny; teraz już Lenhart sam przystanął w właściwem miejscu.

— Ah! zawołał, teraz pies pana stanął do ptaka, bo rusza ogonem.

— Tak i to do ptaka ze złotem upierzeniem, odrzekł podróżny.

Lenhart przecząco potrząsł głową, mówiąc: Niema tu bażantów.

— Co ty wiesz! skoro Fryga mówi, że bażant, to tak być musi. Wszak prawda poczciwy Frygo.

Pies spojrzał na pana i zdawał się oczami potwierdzać jego słowa, znacząco łbem poruszając.

— Widzisz, już ze sposobu w jaki Fryga stanął nie mogę wątpić, że to bażant; kuropatwa byłaby się już zerwała. Musi tu być gdzieś bażantarnia w okolicy.

— Jest wprawdzie pałac i bażantarnia pana de Rezé, ambasadora francuzkiego, ale o jakie dwie mile ztąd.

— Widać hultaj przyleciał za żerem. A co!...

Właśnie gdy to mówił, zerwał się prześliczny bażant; ale nie podleciał i czterech metrów w górę, strzał ugodził w niego i złamał oba skrzydła, poczem spadł i znikł w zaroślach.

— Aport! Fryga! aport! krzyknął młody podróżny nabijając dubeltówkę.

— A toż co! krzyknął Lenhart, istne czary! zabiłeś pan bażanta, a pies niesie królika.

— Jakto? nie rozumiesz? ależ to rzecz bardzo prosta! odrzekł śmiejąc się podróżny.

— A niech mnie kaci porwą! jeźli pojmuję jak się to stać mogło.

— Ja zabiłem bażanta, ale w tych samych zaroślach ukrywał się królik. Fryga pogonił za bażantem, udając że nie widzi królika, który oszukany dał się podejść; wtedy Fryga zdusił go i przyniósł mi, a teraz wróci po bażanta.

Jakoż rzeczywiście Fryga niebawem wrócił z bażantem.

— Umieść je obok zajęcy i ruszajmy, dość tego na dziś.

O jakie pięćset kroków dalej zobaczyli kask strażnika leśnego.

— Czyś pewny swoich koni? zapytał podróżny.

— Bądź pan spokojny, nie dozwolę przecież aresztować pana jako polującego bez pozwolenia— takem się ubawił.

— Zdaje się, jesteś zapalonym myśliwym?

— Tak, zakradam się i poluję od czasu do czasu — ale gdzie mi mierzyć się z panem. A! cóż to za skarb taki wyżeł!... Ale patrzno pan, strażnik daje znaki żeby zaczekać na niego — niedoczekanie twoje kochanku!... I krzyknąwszy z całego gardła: „Gute nacht!” popędził co koń wyskoczy.

Dojeżdżano już do miasta, gdy zestraszony zając zerwał się o 50 lub 60 metrów od pojazdu.

— O! ten miał rozum! zawołał Lenhart, z takiej odległości już go pan nie zabijesz.

— Zobaczymy! aj! Lenhart'cie, jesteś niby miłośnikiem polowania, a nie wiesz tego, że dla dobrego myśliwego, mającego dobrą broń, prawie nie ma odległości.

Podróżny wykręcił naboje szrutem a włożył nabój z kulą, poczem rzekł do woźnicy.

— Czy znasz obyczaje zajęcy?

— No, o tyle o ile można znać obyczaje zwierzęcia, którego języka nie rozumiemy.

— To ja cię nauczę; każdy zając który zerwie się przestraszony, jeźli nie jest goniony, zatrzyma się o pięćdziesiąt kroków, obejrzy w około i rozpocznie toaletę — ot patrz!

Rzeczywiście zając stanął w pewnej od powozu odległości, usiadł na tylnych łapach i zaczął się myć przedniemi. Ta przewidziana przez podróżnego kokieterya, zgubiła biedne zwierzę.

W tejże chwili rozległ się wystrzał — zając padł martwy.

Lenhart spojrzał z uwielbieniem na myśliwca.

— Pozwól mi pan, rzekł, zadać sobie jedno pytanie: jeźli, jak utrzymują, wojna wybuchnie, po czyjej staniesz stronie?

— Prawdopodobnie, ani po stronie Prus, ani po stronie Austryi, ale w szeregach Francyi, ponieważ jestem Francuzem.

— Oto mi tylko idzie, żebyś pan nie trzymał z tymi hultajami Prusakami; ale jeźli chcesz pan walczyć przeciw nim, niech mi wolno będzie zrobić panu pewną propozycyę.

— Jakaż to?

— Prowadź pan wojnę z mego powozu, będę pana woził darmo.

— Dobry pomysł! właśnie marzyłem o czemś podobnem — wojna z powozu!

— Otóż i powóz mój i koń doskonale się do tego nadaje; wprawdzie nie wiem ile koń ma lat, bo gdym go kupił przed dziesięciu laty, już nie był młodym. Ale mimo to śmiało wyruszyłbym z nim na trzydziestoletnią wojnę, pewnym będąc, że dotrwa do końca. Co zaś do powozu, możesz pan przekonać się, że jest zupełnie nowy; przed trzema laty kazałem dać dwa nowe koła, przed rokiem zmieniłem resory, a przed sześciu miesiącami pudło.

— Jest to coś jak u nas we Francyi historya o nożu Jaska; najpierw dano nowe ostrze, następnie nowy trzonek, ale był to zawsze ten sam nóż.

— A otóż i pies z zającem; chodź do innych elegancie! na co ci to wyszła twoja niewczesna pretensya... ugodzony w same piersi!... Ach! panie, już jeźli w żaden sposób nie chcesz, nie bij się z Prusakami, byleś tylko, do pioruna! nie bił się za nich...

— O! co do tego możesz być spokojny, jeźli będę się bić, to z nimi, i kto wie czy nie zacznę jeszcze przed wypowiedzeniem wojny.

— Wiwat! wiwat! śmierć Prusakom! krzyknął Lenhart, poganiając biczem konia, który jakby pragnął usprawiedliwić oddawane mu pochwały, puścił się galopem a podniecany biczem i wołaniem swego pana, szybko przebiegł przedmieścia i ulice Hanoweru prowadzące do Wielkiego Placu, na którym wznosi się konny posąg króla Ernesta-Augusta i nie zatrzymał się, aż przed bramą „Hotelu królewskiego”.

(D. c. n.)

MODLITWA.

Jeszcze me serce w kolebce było,
A już się rwało do Ciebie,
Już Twoje święte Imię wielbiło,
Najświętsza Panno na niebie!

Nie rozumiejąc żalu ni troski,
Nie znając synów tej ziemi,

Przez usta matki do Matki Boskiej,
Składało modły za niemi. —

Potem sieroce łzy i westchnienia,
Sam słałem przed Twe obrazy,
I wszystkie bóle, wszystkie cierpienia,
Wszystkie doznane urazy.

A Tyś o Matko! jako rodzona,
Co mnie swem mlekiem karmiła,
Przyjmując grzesznych do swego łona
I moją boleść koiła.

Zlituj się, Pani, zlitnj nad nami,
Przez miłosierdzie bez miary,
Wszystkich Ci wiernych nazwij synami
I wszystkich przyjmij ofiary.

A my Cię za to, składając dzięki,
Niebiańska ranna lilijo,
Spólnemi głosy jednemi dźwięki
Witamy „Zdrowaś Maryjo!"

W. R.

Huta Gzdowska.

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

XI.

Wiek, w którym wojny tak były zacięte, iż walczący nie znali wzajem dla siebie litości ani miłosierdzia, bunt lub zdrada musiały być karane nietylko surowo ale okrutnie. Mamy tego przykład w dziejach Zagrzebia.

Wieśniacy z Zagoryi uchodzili zawsze za najlepszych żołnierzy chorwackich; dzieje przekazują cuda waleczności jakiej dzielna ta ludność złożyła dowody; nigdy stopa zwycięzkiego Turka nie skalała swem przejściem ich progów rodzinnych. W pośród nich-to schroniły się rodziny bośniackie, które w końcu XV-go wieku nie wahały się porzucić cały swój dobytek i domy, dla zachowania wiary ojców, i wkrótce potem na czele tych bohaterskich wieśniaków staczali zawzięte boje w obronie swej wspólnej ojczyzny.

Podczas gdy Bośnia słowiańska i chrześciańska stała się łupem Turków, gdy Slawonia jęczała pod jarzmem muzułmańskiem a Dalmacya musiała poddać się przemocy weneckiej: Zagorya (leżąca między górami Iwansisa, Kostelką i rzeką Sawą) stała się przybytkiem narodowości chorwackiej, której dzieje w XIV i XV-m stuleciu połączone są nierozłącznie z historyą hrabiów de Cilli.

Po wygaśnięciu potężnego tego rodu zarząd Zagoryi powierzony został Iwanowi Korwinowi, banowi Chorwacyi, naturalnemu synowi króla Mateusza Korwina. Później majętności hrabiów de Cilli i administracya kraju przeszły w ręce dowódców wojskowych, którzy tak dzielnie bronili ojczyzny przeciw najezdniczym Turkom.

Około roku 1570, podczas wojny przeciw Turkom, wybuchł bunt chłopski z Zagoryi; trudno dziś doszukać się rzeczywistego czy pozornego jego powodu. To pewna, że szerzył się niesłychanie prędko, i w roku 1572 Mateusz Gubet, uznany przywódzcą buntowników, z tytułem „króla chłopów", opierał się dzielnie hrabiemu Draskowicz, banowi Chorwacyi. Zdobywszy cytadelę Stubitza założył w niej swą główną kwaterę i władze chorwackie musiały przystąpić do jej oblężenia, w następstwie którego król chłopów został pobity, pojmany i odprowadzony do Zagrzebia, gdzie w 1573 roku okrutnie został ukarany, aby podkomendnym jego nie przyszła chęć wstąpić w jego ślady. Przed głównemi drzwiami kościoła Ś-go Marka przywiązano go do rozpalonego żelaznego krzesła, mającego przedstawiać tron, na głowę jego włożono żelazną rozpaloną koronę, poczem rozszarpano jego ciało rozognionemi żelaznemi narzędziami; wszystko to działo się w oczach legata cesarskiego, Andrzeja Passaneca.

Ta „Męczarnia Mateusza Gubeta" dostarczyła wątku do obrazu młodemu malarzowi chorwackiemu, p. Ferdynandowi Quiquerez, którego utwory bardzo cenione są w Chorwacyi. Jest on jednym z najcelniejszych uczni akademii monachijskiej i rzymskiej, a obecnie profesorem malarstwa i rysunku w Szkole technicznej w Zagrzebiu. Jego obraz przedstawiający Mateusza Gubeta, reprodukowany za pomocą chromolitografii, i w Chorwacyi i w Austryi wielkiem cieszy się powodzeniem. Oprócz powyższego, pan Quiquerez jest twórcą innego jeszcze szeroko obmyślanego i znakomicie traktowanego obrazu: „Przybycie do Dalmacyi króla Horwata i jego towarzyszy." Dalmacya przedstawiona jest pod postacią królowej, u stóp której zakuci w zbroje przybysze, składają broń, berło i koronę. Jest tu przedstawione w formie allegorycznej założenie trójjedynego królestwa Chorwacyi, Slawonii i Dalmacyi.

Pan Quiquerez urodził się w Zagrzebiu w 1847 roku; rodzina jego pochodzi z Hiszpanii. Utwory jego artystyczne tchną wielką miłością narodowych tradycyj przybranej jego ojczyzny, a obok tego odznaczają się śmiałością pędzla, poprawnym rysunkiem oraz pewną wykwintnością, cechującą rodaka Zurbaran'a i Velasquez'a.

XII.

Chorwaci są to Słowianie przybyli z gór Karpackich na wybrzeża Dunaju i Sawy, zkąd wypędzili Awarów, niszczących prowincye Pannonii i Syrmii. Zawezwawszy ich Herakliusz oddał im całą przestrzeń kraju między Sawą a Narentą, mającą stać się strażnicą przeciw najazdom barbarzyńców pustoszących państwo rzymskie, i porozumiawszy się z papieżem Adryanem IV, wysłał do nich misyonarzy z Włoch i Niemiec, aby głosili wśród nich naukę Zbawiciela — jednakże dopiero w IX wieku przyjęli rzeczywiście wiarę katolicką. Nawrócenie Słowian na wiarę katolicką zawdzięczać należy apostolskim pracom ŚS. Cyrylla i Metodego i ich uczni. Od owej epoki wielka słowiańska rodzina chorwacka rozdzieliła się na dwa oddzielne szczepy: Serbów i Chorwatów, którzy w rozwoju swoim odmiennemi poszli drogami. Pierwsi ulegli wpływowi grecko-wschodniemu, Chorwaci przeciwnie, nie tracąc właściwej sobie odrębności, uczuwali większy pociąg do świata łacińskiego, z którym przez Włochy oddawna zostawali w stosunkach, i dzięki którym daleko szybciej i w większych rozmiarach brali udział w cywilizacyi chrześciańskiej i europejskiej. Dowodem czego jest już samo przyjęcie alfabetu zwanego cyrylicą, stanowiącego nader wyraźną linię demarkacyjną między temi dwoma cywilizacyami.

Przybywszy pomiędzy Słowian św. Cyryl, chcąc jaknajprędzej uczynić dostępnem i rozpowszechnić Pismo święte, uznał niezbędnem utworzenie alfabetu na pożytek ludu, któremu miał opowiadać Słowo Boże. Alfabet ten przyjęli niebawem Serbowie, Morawianie, i Słowianie Północy, Chorwaci zaś pozostali wierni głagolicy, którą przecież porzucili w końcu dla zgłosek rzymskich czyli łacińskich, które też utrzymały się stanowczo w języku chorwackim, z małemi zmianami w wymawianiu trzech liter: *c*, *s*, *z*. Głagolica czyli starodawne pismo słowiańskie zachowało się w Chorwacyi, Bośnii i Dalmacyi. W bibliotece arcybiskupiej w Zagrzebiu znajdują się starożytne liturgiczne księgi chorwackie, drukowane lub pisane literami głagolickiemi, zbliżonemi zdaje się do mezogotyckich, wymyślonych lub udoskonalonych w IV-ym wieku przez Ulfilasa. Dziś ksiąg tych używają już tylko w dyecezyi Zengg na wybrzeżach morza Adryatyckiego.

Dzieje religijne ludu chorwackiego, będące zarazem dziejami bohaterskich jego walk staczanych z barbarzyńskimi najezdcami Północy i Wschodu, zostały spisane w połowie XVIII-go wieku przez Kersalicza z Korbawii—ale jest to tylko zbiór faktów bez żadnego poglądu krytycznego. Wyszedł tylko tom I-szy, druk drugiego został zaniechany. Jeden z członków kapituły zagrzebskiej, w której zasiada tylu znakomitych uczonych i erudytów, kanonik Tkalszic, opracowuje „Historyę dyecezyi arcybiskupstwa zagrzebskiego," a znany z uczonych prac swoich hagiologicznych i etnograficznych ksiądz kanonik Raczki, który opisał już dzieje chorwackie od VI do XI wieku, oraz „Historyą wieku i prac apostolskich św. Cyrylla i Metodego", pracuje teraz nad dziełem wymagającem benedyktyńskiej pracy i rozległej jego erudycyi, które wykaże światu mało, źle lub wcale nieznane fakta odnoszące się do dziejów wschodniej Europy, których widownią był Zagrzeb i przyległe okolice. Niezmordowany ten pracownik pisze prócz tego „Historyą zakonów religijnych w Chorwacyi", w której mieścić się mają całkiem nieznane a bardzo ciekawe dokumenta, odnoszące się do historyi Templaryuszów.

Zakon Templaryuszów, który podczas XII i XIII wieku bronił chrześciańskiej Europy od hord muzułmańskich, w czem później zastąpili go Chorwaci, miał w tym kraju znaczne posiadłości. Majętność Bozjakowina (Bozjak, templaryusz) należąca obecnie do hrabiego Draskowicza (w okolicach Kreutz) była siedliskiem komandoryi Templaryuszów. Ich to wpływowi przypisują wprowadzenie do liturgii słowiańskiej imion świętych, czczonych szczególniej we Francyi. W Chorwacyi i w Węgrzech największą czcią otaczają św. Rocha, jako broniącego od wszelkiej epidemii i morowej zarazy, jaką zawsze sprowadzały najazdy muzułmańskie. Nie ma miasta ani ważniejszej nieco gminy, któraby nie posiadała kościoła lub choćby małej kapliczki wzniesionej ku czci tego świętego. Dzień Ś. Rocha w większej części Chorwacyi a szczególniej w tak zwanej Szwajcaryi chorwackiej, obchodzony jest jako święto uroczyste.

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ W naszych czasach, gdy nawet wychowywanie młodzieży bywa dla niektórych osób interesem spekulacyjnym lub zajęciem z musu podjętem, a bez zamiłowania i uzdolnienia wykonywanem, przyjemnym i godnym zaznaczenia jest widok kobiety, która nietylko poświęca się nauczaniu panienek, ale i sama składa publiczne dowody swego poważnego sposobu myślenia i zamiłowania do szlachetnych zajęć naukowych. Mówimy tu o pani Stefanii Jurkowskiej, przełożonej wyższej pensyi panieńskiej w Płocku, która ubiegłej zimy dwukrotnie występowała w tem mieście z odczytami, przyjętemi z sympatyą i uznaniem, a w minionym tygodniu miała dwa odczyty w Warszawie: pierwszy o literaturze ludów wschodnich, drugi o pieśniach ludowych polskich. Nie wykazała wprawdzie prelegentka głębokich oryginalnych poglądów i surowa krytyka naukowa znalazłaby w obu odczytach niejeden punkt do wytknięcia, wszelako wywiązała się ze swego zadania zadawalniająco, stylem barwnym, ponętnym i jasnym, głosem donośnym i sympatycznym, zachowując się na katedrze z prostotą i naturalną godnością. Dla wielu między słuchaczami były to rzeczy znane, ale wykształcenie ogółu nie stoi u nas jeszcze tak wysoko, aby nie znalazło się w gronie słuchaczów niemało takich, których odczyty pani Jurkowskiej mogły zająć i nawet nauczyć. Sądzimy, że temi wystąpieniami p. Jurkowska powiększy wziętość swego zakładu naukowego, gdyż rodzice z większem zaufaniem oddawać będą swe dzieci pod opiekę osobie, która poświęca się poważnym zajęciom naukowym i daje tem rękojmię, że i wychowanki swoje natchnie tem samem zamiłowaniem zajęć szlachetnych i pożytycznych.

+ Składki zbierane na pomnik nieśmiertelnego naszego wieszcza, wynoszą dotąd zaledwie połowę summy niezbędnej na tenże pomnik i przeprowadzenie zwłok jego z Paryża do Krakowa; komitet nie przestaje zatem obmyślać wszelkich możebnych środków dopełnienia potrzebnego funduszu. Pomiędzy innemi komitet uprosił słynną poetkę naszą Deotymę o pośrednictwo w zbieraniu na ten cel składek, dzięki któremu, złożono już dwie znaczniejsze ofiary, a mianowicie: p. Jan Zawisza 1,000 rs. i p. Ludwik Górski 500 rs. Tak więc początek zapowiada się świetnie, i pragnąć tylko należy, aby szlachetni ofiarodawcy znaleźli jak największej naśladowców. Nie każdy może składać tak hojne datki, lecz niech tylko każdy złoży choćby grosz wdowi, a prędko zbierze się potrzebna a bardzo skromna summa odnośnie do tylu milionów rodaków nieśmiertelnego wieszcza, bo obliczona wogóle mniej więcej na 100,000 florenów (60,000 rs.)

Przeprowadzenie zwłok do Krakowa stanowczo jest postanowione i zapewne nastąpi jeszcze w tym roku, bo gród Jagiellonów ma gotowe miejsce na przyjęcie relikwi narodowych. Ludy Europy patrzéć będą z podziwem, a na krakowskich błoniach zabrzmi radośne Hosanna!

Zanim dzwon Zygmuntowski wyśle z Wawelskiej wieży na drogę powitanie ku trumnie, pośpieszajmy ze składaniem ofiar na pomnik na który nasz Adam tak dawno oczekuje.

Dotąd nie oznaczono jeszcze stanowczo miejsca, na którem pomnik ma stanąć; z licznych proponowanych miejscowości trzy uznano za najodpowiedniejsze, a mianowicie: plac Maryacki, po za Sukiennicami plac zwany Szczepańskim i na plantach wprost Wawelu. Komitet pomnikowy odwołuje się do wszystkich znających Kraków, aby mu objawili swoje w tym przedmiocie zdanie. Co do nas przemawialibyśmy bezwarunkowo za wzniesieniem pomnika na plantach, wprost Wawelu, w grobach tej świątyni, w tym panteonie narodowym spoczną prochy wielkiego wieszcza, niechże i pomnik wznosi się w pobliżu. Plac Maryacki za Sukiennicami zanadto jest zacieśniony, a plac Szczepański zanadto na uboczu i zamało uczęszczany.

+ Do jakiego stopnia pod pewnemi względami zacofane są prawa pruskie, przekonywa wyrok wydany niedawno przez trybunał państwowy w Lipsku. Książę Ludwik Sayn Wittgenstein Sayn ożenił się za granicą w r. 1867 z córką bankiera berlińskiego Lilienthala; następnie umarł w r. 1876 i Książę Fryderyk Sayn oskarżył i zapozwał pozostałą wdowę, że nieprawnie używa książęcego tytułu i herbu, domagając się od sądu aby jej to zostało zabronione. Trybunał państwowy uznał wdowę po ks. Wittgenstein Sayn za winną, zabronił używać książęcego tytułu i herbu i wydał następujące orzeczenie. 1. Małżeństwo szlachcica z mieszczanką uważa się za mezalians, i choć jest ważne, żona nie przechodzi w stan męża, lecz zatrzymuje swój stan przedślubny; 2. Wolno jest żądać na drodze cywilnej aby jakiejś osobie odjęto tytuł i herby; 3. prawo wniesienia takiej skargi przysługuje każdemu członkowi rodziny. I oto prawo obowiązujące w oświeconej Europie, w naszym demokratycznym XIX wieku.

+ Górny Szlązk stał się znowu widownią nowej klęski; w kopalni Redensblick wybuchł niesłychany pożar, którego żadne usiłowania przytłumić nie zdołały. Niepodobna było nawet myśléć o uratowaniu kopalni; w ciągu kilku godzin zgorzały murowane wewnątrz domy, zawaliły się maszyny. Niedość na tem, pożar przedarł się do sąsiedniej kopalni Florentinen grube, której głębokość podają na 200 metrów. Prawie trudno wytworzyć sobie pojęcie o ogromie ognia, wzbijającego się z takiej głębi aż do dachów na powierzchni ziemi stojących. Przystęp do palących się kopalni jest najzupełniej niemożebny — niepodobna nawet w przybliżeniu oznaczyć jak długo straszny ten ogień trwać będzie. Sikawki nie przestają działać aby przynajmniej sąsiednie budynki zabezpieczyć od pożaru. Szczęściem nikt z ludzi nie padł ofiarą gdyż ogień wybuchnął po opuszczeniu kopalni przez robotników. Przeszło sto koni umieszczonych w stajniach, w kopalni zginęło. Były to dwie najpiękniejsze i najbogatsze kopalnie górnoszlązkie; strata poniesiona przez właściciela wynosi już 20,000,000 marek. Robotnicy znaleźli robotę w innych kopalniach.

+ Towarzystwo dawnych uczni szkoły batignolskiej, a głównie jeden z jego członków p. W. Gasztowtt, ogłasza co pewien czas swój *Buletyn* poświęcony sprawozdaniom o literaturze i sztuce polskiej. Czytamy w *Bibliotece Warszawskiej* iż ostatni zeszyt tej publikacyi, oprócz sprawozdania z sześciomiesięcznych czynności Towarzystwa, obejmuje ogólny zarys o ruchu umysłowym polskim, jakoteż starannie zebrane wiadomości o pracach czeskich i niemieckich pisarzy poświęconych literaturze polskiej, o poematach osnutych na tle naszych podań, o dokonanych przekładach wielkich naszych narodowych poetów. Owe przeglądy bieżącej literatury polskiej stanowią wielką z. sługę sprawozdawcy, jako węzeł łączący z krajem młodzież zrodzoną i wychowaną na obczyźnie, oraz zapoznające Francuzów z żywotnym ruchem, tak wytrwale objawiającym się u nas na polach umysłowej działalności. Najpierw wylicza *Bulletyn* odczyty członków Towarzystwa. Przed kilku miesiącami p. Zaborowski odczytał zajmujące studyum nad pracami Lelewela. Na innem posiedzeniu p. Stryjeński przedstawił ciekawy zarys „Pamiętników Jana de Choisnin, obejmujących przedwstępne umowy do obioru Henryka Walezyusza. Jan de Choisnin towarzyszył posłowi francuzkiemu, biskupowi Montluc, któremu powierzono sprawę elekcyjną. Pobyt swój w Polsce opisuje on językiem XVI w. Miło nam czytać jak p. de Choisnin zachwyca się naszym krajem, jak wysławia uprzejmość i gościnność panów polskich, ich wspaniałomyślność i rycerskie cnoty, jak podziwia ich przepych i ogładę. Zgromadzenie szlachty na polu elekcyjnem nader silne wywarło wrażenie na umyśle Francuza; jego opis pełen życia i prostoty zarazem, oraz nieudany zachwyt, widocznie płynie z serca.

W rocznicę skonu Mickiewicza p. Gasztowtt miał odczyt o jego poezyach i wypowiedział wyborny swój przekład „Jankla Cymbalisty” (ustęp z Pana Tadeusza). Na innem zebraniu wypowiedział piękne studyum o Janie Kochanowskim. Był to życiorys poety wraz z ocenieniem głównych jego utworów. Prześlicznie oddał wierszem francuzkim znaną pieśń wieszcza z Czarnolesia: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?”, oraz smętny wiersz o Tatarach na Podolu i *Treny*, tak bezmierną przeniknione boleścią, ten drogocenny klejnot w poetycznym wieńcu naszego wieszcza. Niełatwe to zadanie odtworzyć dzisiejszym językiem tę niezrównaną prostotę cechującą poemata Kochanowskiego, i jak on, utrzymać się na idealnych wyżynach — p. Gasztowt wywiązał się z niego po mistrzowsku. We wstępie odczytu zwrócono uwagę na określenie trzech szkół poetycznych: klasycznej, której wyrazem był Jan z Czarnolasu, romantycznej i zrodzonej obecnie *naturalistycznej*. Poezyę klasyczną nazwał autor poezyą czerpaną z głowy, romantycznej naznaczył źródło w sercu, a naturalistyczna, mówił, nie wypływa ani z głowy ani z uczucia, ale z pozostałej w człowieku strony zwierzęcej. Możeby najtrafniej oznaczyć ją nazwą *zookratycznej*.

Drugi dział *Bulletynu*, obejmuje szczegółowy rozbiór przeglądów polskich, trzeci poświęcony jest literaturze polskiej po za granicami kraju. Jest tu mowa o dziełach cudzoziemskich w jakibądź sposób odnoszących się do naszych dziejów lub piśmiennictwa i o coraz liczniejszych przekładach z literatury naszej na język czeski i niemiecki.

Życzyć należy aby *Bulletyn* znalazł poparcie ludzi dobrej woli, które dozwoliłoby mu rozszerzyć swe ramy i zamienić się na peryodyczne miesięczne wydawnictwo.

+ Do tylu klęsk, nieustannie niemal teraz trapiących ludzkość, przyłączają się straszne klęski jakim ani najwyższa posiadana wiedza, ani żadna siła zaradzić nie zdoła, a są niemi nigdy jeszcze tak często jak dotąd nie pojawiające się trzęsienia ziemi. Jeszcze w żywej tkwią pamięci okropne spustoszenia, spowodowane trzęsieniami ziemi w Zagrzebiu i na wyspie Ischia, a znów telegramy ze Smyrny i Konstantynopola rozniosły po Europie złowrogą wieść o nadzwyczaj silnem trzęsieniu ziemi na wyspie Chios. Liczba zabitych i ranionych ma wynosić 16,000 osób, a kilkadziesiąt tysięcy ludzi pozbawionych jest dachu i chleba. W stołecznem mieście wyspy, Chios (Kastro) większa część domów runęła w gruzy lub stała się niemożebną do

zamieszkania; inne miejscowości wyspy są prawie zrównane z ziemią, a mieszkańcy ich obozują w szałasach i namiotach, których stosunkowo mało bardzo posiadają. Wyspa Chios leży wśród morza Egejskiego, przy wybrzeżu Azyi Mniejszej; jak Capri i sąsiadująca z nią Ischia, której trzęsienie było jakby zapowiedzią okropnej ostatniej katastrofy, położone są niejako w progu słynnej przystani Neapolitańskiej, tak wyspa Chios wraz z poblizką Lesbos (Mitilene) stanowi próg taki do równie słynnej przystani Smyrneńskiej. Trzęsienie ziemi obróciło w gruzy 30 miejscowości, z tych najwięcej ucierpiały miasta Sarkies, Kalimassia, Vassilionis i Ververato. Wyspa Chios posiada pięć dobrych przystani, kilka miast i około 70 osad liczących 50,000 mieszkańców. Ziemia jej słynie z urodzajności i bogactwa, i ani podania ani dzieje jej nic nie mówią, aby kiedykolwiek miało tam miejsce tak silne trzęsienie ziemi, jak w dniu 4 b. m. Niegdyś, nawet jeszcze w początkach bieżącego wieku, liczono do 130,000 Chiotów, ale poległo ich około 100,000 w walce z Turkami podczas pamiętnego powstania z 1822 r. Chioci chlubili się zawsze i dotąd dumni są ze swego jakoby czysto greckiego pochodzenia; słyną oni z urody odznaczającej się szlachetnością linii i klasycznością kształtów. Mówią zawsze, że w czasach starożytnych młodzież ich i kobiety służyły za modele sławnym mistrzom greckim. Sąsiednie plemiona cenią wysoko Chiotów dla ich odwagi, dzielności i prawości charakteru. Męztwo ich niejednokrotnie dało się we znaki Turkom, w pięć lat po strasznej rzezi w 1822 r. zmuszeni byli tłumić nowe ich powstanie, przyczem najstraszniejszych dopuszczali się okrucieństw.

Dzieje wyspy Chios są jednym długim szeregiem krwawych przewrotów; uczeni uważają tę miejscowość za rodzinną kolebkę Homera, podziśdzień nosi tam nazwę „szkoły Homera" starożytna ława kamienna, spoczywająca na czterech mocno już uszkodzonych figurach zwierząt. Zabytek ten uważają mieszkańcy za najcenniejszą przeszłości swojej relikwię, a poeci ich dawni i nowsi opiewali ją niejednokrotnie. Wnętrze wyspy jest górzyste, w pokładach gór przeważa wapień; w starożytności wydobywano z tych gór wiele marmuru. Wybornie udaje się na tej wyspie bawełna i chów jedwabników, wina chiockie podobne są do malagi i słyną ze swej dobroci. Cytryny, figi, oliwki rosną bujnie i obficie. Słynne są także olbrzymie drzewa chiockie, zwane „therebintami", które jednak coraz stają się rzadsze. Do osobliwości zaliczają także czerwone kuropatwy.

Straszne ostatnie trzęsienie ziemi o metr zniżyło poziom wyspy; mieszkańcy tłumnie emigrują.

+ Pan Stanisław Skarzyński, obywatel z Łomżyńskiego, nadesłał list do *Kur. Codz.*, w którym opisuje nędzę panującą w pośród Kurpiów, i wzywa do składek na tych nieszczęśliwych. W roku zeszłym w d. 21 czerwca uragan połączony z gradem, zniszczył całkowicie zboża na polach kilku wsi powiatu ostrołęckiego, gubernii łomżyńskiej, a mianowicie we wsiach: *Myszyniec Stary*, *Wolkowa*, *Niedźwiedź*, *Cienek*, *Dębe* i *Łyse*, stanowiących razem 646 osad, a oprócz tej klęski gradobicia duża i ludna wieś Lipniki została do szczętu zniszczona przez pożar. Około 5,000 ludzi potrzebuje niezbędnie natychmiastowego ratunku dla zapobieżenia głodowi, który przybrał takie rozmiary, iż wywięzują się z niego epidemiczne choroby. Na pierwszą wieść o tej groźnej klęsce hr. Ludwik Krasiński złożył na zapomogę dla nieszczęśliwych Kurpiów 500 rs. na ręce J. W. Gubernatora, a pan Skarzyński rs. 100. Biedny ten lud nietylko dotknięty jest klęską głodową, ale i pozbawiony mo żności dopełnienia zasiewów jarzynnych — jeźli pomoc nie przybędzie szybko, na rok przyszły klęska głodu ponowi się w straszniejszych jeszcze rozmiarach — a nieodstępny jej towarzysz tyfus tysiące zabierze ofiar. Redakcya nasza, zarówno jak wszystkie inne pisma, najchętniej podejmie się pośrednictwa; niech każdy, złoży wedle możności choćby najskromniejszy datek, a spełnimy najświętszy obowiązek chrześciańskiego miłosierdzia i współczucia dla współbraci.

+ *Kur. Warsz.* podaje zajmujące szczegóły o Kurpiach według Wincentego Pola: Sami oni nazywają się puszczakami, nazwa Kurpiów powstała od nazwy obuwia. Garść ta plemienia polskiego, usunięta kiedyś między starożytnych Prusaków i Jadźwingów, przesiadująca w lasach, niemal odcięta od pnia głównego, przechowała odwieczne zwyczaje, wyrabiała samodzielnie nowe warunki życia i tym sposobem ostro zarysowała właściwy wyraz etnograficzny. Cały obszar Narwi i jej dopływów jest „krainą przerosłą lasami i podmokłą", — w tych kilku wyrazach zamyka się określenie gospodarstwa puszczaków. Z pojęciem Kurpia albo puszczaka łączono pojęcie „wolnego człowieka" i rzeczywiście zażywali prawdziwej wolnośi, jako należący przeważnie do królewszczyzny a w części do biskupstwa płockiego. Puszczaki posiadali niektóre doskonałe instytucye zniesione dopiero na początku naszego stulecia, przez Prusaków; zajmują one nader ciekawą kartę w dziejach ustawodawstwa polskiego.

Grunt tylko nie odpowiadał innym przyjaznym warunkom; w ogóle piaszczysty i nieurodzajny, nadaje się jedynie pod owies i do pośledniejszych zasiewów. Łąki tylko są piękne, wydające wyborne siano, ale obok tego całe ogromne obszary bagniste porastają tylko wełnistym bielem. To też od niepamiętnych czasów puszczak nie poprzestając na skąpych darach gleby, szukał środków pomocy w otaczających źródłach. Bartnictwo w żywych sosnach, myśliwstwo w nieprzebytych kniejach, rybołówstwo, orylstwo, hodowla zwierząt domowych, tkactwo, kołodziejstwo, bednarstwo, suszenie grzybów, obrabianie bursztynu i różnorodne dostępne przedsięwzięcia, zapełniały braki wynikające z nieurodzajności roli. Lud ten zahartowany w walkach z człowiekiem i zwierzem, zwycięzki ze szwedem i niedźwiedziem, pracę miał za powinność, a wytrwałość w niej za chleb powszedni. Z upływem czasu wiele się zmieniło; upadło wiele źródeł ich przemysłu. Musieli rozstać się ze strzelbami; z wyniszczeniem lasów bartnictwo prawie ustało, jeden cios nadzwyczajny, jak gradobicie zeszłoroczne, a klęska gotowa „ubyło zwierza a przybyło ludzi" straszna klęska głodu trapi biednych puszczaków, wynikłe z niej choroby coraz liczniejsze zabierają ofiary.

Pomimo, że rodzinne ich strony w tak złych znajdują się warunkach, Kurpie rzadko bardzo porzucają rodzinne swoje zagrody, dla zarobku lub poprawienia losu; tylko ostatnia konieczność, głód i nędza zniewoliły niektórych w końcu ubiegłego roku, iż rozbiegli się po Myszynieckiej puszczy i przyległych powiatach gubernii Łomżyńskiej i płockiej, żebrząc wsparcia i pomocy.

Dodać należy, iż w puszczy Myszynieckiej nie ma wcale większych posiadłości ziemskich, więc w pośród ludności złożonej wyłącznie z osadników wiejskich i z dawnych mieszczan oddających się pracy około roli i warsztatów rzemieślniczych, nie ma intelligencyi umiejącej obmyśléć jakąś drogę ratunku, ani osób zamożniejszych mogących udzielić znaczniejszej pomocy, jak to ma miejsce u nas w miejscowościach, gdzie wśród uboższej ludności zamieszkują posiadacze większych posiadłości. Okoliczni mieszkańcy wyczerpali już swoje zasoby, nędza panuje okropna — kołatamy tedy do ofiarności publicznej, przekonani, że głos nasz nie będzie głosem wołającego na puszczy; chodzi o jak najśpieśniejszą pomoc, aby uchronić od głodu i śmierci *pięć tysięcy* puszczaków.

+ W Nowoczerkasku, głównem mieście Ziemi wojska dońskiego, zaczęto przed 70 laty budować ogromną cerkiew katedralną, której zdumiewające dzieje tak opisuje „Gołos:„

W ciągu pierwszych lat 35 wydano na tę świątynię 698,985 rs., ale zbudowano ją tak nędznie, iż runęła w r. 1844; w ciągu następujących lat 17 wydano znów na budowę przeszło 740,000 rs. i znów w r. 1863 cały gmach zamienił się w gruzy. Od owego czasu ruiny stały sobie nietknięte do 1880 r., w którym nareszcie kazano je rozebrać i uprzątnąć. Tak więc komitet budowy wydał na wybudowanie cerkwi 1,438,985 rs., a obecnie w dodatku assygnowano z kapitału wojskowego jeszcze na rozebranie i uprzątnienie zwalisk. Ciekawem byłoby sprawdzenie do ilu i czyich kieszeni weszła tak olbrzymia summa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Ignacemu St. Wierszyk do Skowronka ładnie ułożony, ale zbyt czarno spogląda na obecne czasy. Nie wszystko u nas skrzepło, jak wiersz opiewa pogarda także ojców cnoty i zwyczajów starych, zagnieździła się tylko w sercach wątłych i w połowie zgniłych ale nie objęła ogółu. Zawsze on krzepki i silny wiarą w siebie, a na brak prawości w życiu, braterstwa, przyjaźni i na miłość płochą, zżyma się i powstaje. Skarga więc niesłuszna i przesadzona, jednostki bowiem nie stanowią ogółu.

Pan. W. N. M. W wierszykach forma staranna, ale treść nie odpowiada wymaganiom pisma.

Pan: Romanii K. Poemacik p. t. Halka sierota, dla Przyjaciela Dzieci, za poważny, dla Tygodnika za zbyt dydaktyczny. Podobnego rodzaju prace mieć powinny stanowczo oznaczone przeznaczenie swoje.

Wilniance. Redakcya dokłada wszelkich starań, aby Tygodnik odpowiadał pod każdym względem swemu przeznaczeniu. Ryciny są przysyłane z zagranicy, których czas dochodzenie do Warszawy od woli Redakcyi nie zależy. Uwagę zrobioną prześlemy tam gdzie wypada.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrnnie balowe z kolorowego muślinu z atłasowym bawetowym stanikiem i puklami z atłasowej wstążki takiego samego koloru. Berta garnirowana kremową koronką; liście w różnych odcieniach i kiście kukurydzy dopełniają przystrojenia. Złota przepaska i kwiaty na głowie. Kolje ze złotych monet.

Ubranie balowe. Biała atłasowa suknia ma z przodu podwójną fartuszkową tunikę, ozdobioną szeroką frendzlą z konwalii z nagłówkiem z metalowych, w różne kolory mieniących się perełek. Taka sama frendzla zdobi mufkę atłasową i wykrój stanika. We włosach i na szyi korale. (461)

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 15 Апрѣля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PEŁNOLETNOŚĆ PANNY BRIDOT.

PRZEZ

KAROLA DESLYS.

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

— Proszę o brylanty. Wrócę jutro wieczorem pośpiesznym cugiem, w braku hippogryffa. Ale czy pozwoli mi pani mieć nadzieję...

— Panie margrabio, za piętnaście dni dojdę do pełnoletności, i wtenczas dopiero odpowiem panu. Życzę panu szczęśliwej podróży.

W godzinę później hidalgo był już na stacyi kolei. Margrabia Bayador był bardzo przystojny, wiódł pańskie życie, i posiadał, jak mówiono, ogromny majątek. Ale nie mógł się poszczycić bystrością umysłu, dla tego też dziwne polecenie donny Teresy było dla niego powodem do głębokich rozmyślań. Zaraz po przybyciu do Paryża, wezwał do siebie pewnego prawnika, człowieka bardzo przebiegłego, który już od pewnego czasu był jego doradcą i spełniał różne jego polecenia. Był on niegdyś obrońcą, a nazywał się Bonami.

Zapewne czytelnicy nasi nie zapomnieli jeszcze o nim.

Bonami przyszedł w takiejże samej wytartej sukni jak gdyśmy go widzieli po raz pierwszy, w takimże samym pożółkłym krawacie, i równie chudy i łysy jak dawniej.

— Wybornie! rzekł, dowiedziawszy się o co idzie. Wybornie, powtórzył zacierając ręce; teraz już mogę zaręczyć panu margrabiemu że panna Bridot odda mu rękę.

— Ale wytłomaczże mi...

— Później. Przyjadę tam za kilka dni.

— Pan?

— Tak, i ktoś więcej jeszcze. Może pan być zupełnie spokojnym.

Nie powiedziawszy nic więcej, wyszedł i udał się prosto do pewnego szynku w Batignolles. Tam zapytał się o niejakiego Eustachego Gorju, przezwanego Dzikiem; odciągnął go na stronę i rzekł kładąc mu w rękę kilkanaście franków:

— Pojedziesz tam natychmiast, i rozmówisz się z Bouquaille'm, który ci da schronienie w pobliżu stawu przy Mont-Saint-Jean. Nadeszła pora działania.

— Tem lepiej, mruknął Dzik, bo to ojciec Bridot doprowadził mnie do nędzy, a zatem ściągnął na mnie wyroki kryminalne, na które inaczej nie zasłużyłbym nigdy, i może kiedyś przez niego umrę z ręki kata. Zanim to nastąpi zemszczę się przynajmniej!...

VI.

Teresa miała już w ręku sto tysięcy franków. Pierwej już wypytała się o drogę do fermy zamieszkiwanej przez panią de Bussiéres, kazała więc osiodłać konia, i ubrana w czarną amazonkę pojechała tam ze swym groomem.

Dotąd nie widziała żadnej trudności w spełnieniu swego postanowienia, lecz w miarę jak się zbliżała do celu, przewidywała coraz większe przeszkody. Zaczęła jechać wolniej, chcąc, jak dobry strategik przed rozpoczęciem walki, poznać dobrze położenie placu i bitwy.

Była to mała ferma, zwana Clos des Houx, z powodu że w miejsce płotu była otoczona ostrokrzewem, wśród którego jednak rosły duże wiązy, wierzby, bez, głóg i kapryfolium. Pnące się rośliny czepiając się gałęzi tworzyły powiewne festony; w rowach i nad rowami rosło mnóstwo różnobarwnych kwiatów. Wszystko razem tworzyło miły dla oka wał z zieleni i kwiatów.

Nieco dalej widać było sad wysłany krótką i gęstą trawą, zarosły jabłonkami pokrytemi gęsto owocem. Pod ich cieniem przechadzało się kilka sztuk bydła, kury, kaczki, indyki, w pobliżu leżały niektóre narzędzia rolnicze. Koło sadu obórka, tłokarnia, szopa, stodoły. Do domu otoczonego ogrodem prowadziła kamienista ulica, zamknięta baryerką.

Teresa kazała ją otworzyć służącemu, i nie wahając się dłużej wjechała w ulicę na której nie spotkała nikogo, nawet pies, ten stróż domowy, nie oznajmił szczekaniem jej obecności. Wszystkie prawie fermy normandzkie, zwłaszcza koło południa, są tak milczące iż zdają się niezamieszkane; wszędzie znajdziesz drzwi otwarte z jakąś nieograniczoną ufnością.

Teresa dojechała tak aż do drugiej baryerki, tam zsiadła z konia i rzuciwszy cugle groomowi, położyła rękę na klamce od furtki. Jednocześnie odezwał się głos dzwonka.

Nie czas już było cofać się, poszła więc dalej.

Ogród był niewielki i nie zbyt starannie utrzymany: dużo drzew owocowych, trochę kwiatów, bardzo wiele jarzyn.

Przy końcu wązkiej uliczki, wysypanej żwirem, stał domek pokryty pnącemi się roślinami, wśród których połyskiwały tylko małe okienka.

Na progu ukazała się jakaś kobieta. Była to osoba w podeszłym wieku, ubrana bardzo skromnie i czarno. Lata nie pochyliły jeszcze tej wysokiej kibici; w jej całej postawie było coś szlachetnego, a głowę pokrywały piękne srebrzyste już włosy.

— To hrabina de Bussiéres, pomyślała Teresa.

Nie myliła się. Zaledwie ta myśl powstała w jej umyśle, hrabina wymieniła swoje nazwisko, a następnie ruchem ręki zaprosiła Teresę do pokoju i wskazała jej krzesło.

Przez chwilę patrzyły na siebie milcząc. Osoby w wieku spoglądają z miłym uśmiechem na twarz młodą i piękną, która im przypomina ich wiosenne lata. Pani de Bussiéres uśmiechała się tak w tej chwili.

Ten wyraz dobroci złagodził jej przyjęcie trochę zimne i dumne. Widocznie ta młoda i piękna nieznajoma wydała jej się bardzo sympatyczną, i chcąc dowiedzieć się co ją do niej sprowadza, zwróciła na nią pytające spojrzenie. Teresa ze swej strony nie chciała dłużej korzystać z jej nieświadomości, dla tego też odezwała się:

— Przedewszystkiem, pani hrabino, muszę wymienić moje nazwisko... Teresa Bridot.

Hrabina zadrżała lekko, nie cofnęła się jednak, nawet uśmiech nie zniknął z jej ust, gdy odpowiedziała:

— Jestem pani wdzięczną za ten dowód szczerości, panno Bridot. Co pani sobie życzy?

Teresa dopiero teraz zrozumiała dobrze, na jak trudne odważyła się przedsięwzięcie.

— Czegóż się pani obawia? zapytała matka Raymunda; jestem chrześcianką, a religia Chrystusa nakazuje nam nietylko przebaczać, ale i zapominać o doznanych krzywdach.

— Pani hrabino, rzekła drżącym głosem Teresa, tyle szlachetności, tyle dobroci powinnoby mnie ośmielić.... a tymczasem... zwiększa to jeszcze moją nieśmiałość... Wiedziałam dobrze co mam powiedzieć, przygotowałam się do tego zawczasu... a teraz zapomniałam... nie mogę...

— Uspokój się... moje dziecię, rzekła hrabina łagodnie.

Te przyjazne słowa wróciły Teresie odwagę.

— Dziękuję pani hrabinie, rzekła, za to zapomnienie o przeszłości. Pozwól mi pani mówić teraz tylko o sobie samej. Zawiniłam, bardzo zawiniłam względem pani, i pragnę wynagrodzić zupełnie moją winę... Wkrótce dam tego jasne dowody. Ale tymczasem, aby pani mogła zająć napowrót należne sobie stanowisko, utracone tak niesłusznie... aby syn pani mógł zadość uczynić szlachetnym zobowiązaniom jakie przyjął na siebie... O! zaklinam panią, nie odrzucaj tego!... nie sprawiaj mi tyle boleści!

Mówiąc to, drżącą ręką, z błagającem spojrzeniem, podawała jej pugilares.

Hrabina cofnęła się teraz trochę, podniosła głowę i rzekła wskazując z daleka palcem ofiarowany jej przedmiot, ale zawsze z największą grzecznością:

— Zechciej mi pani najprzód powiedzieć co jest w tym pugilaresie?

— Sto tysięcy franków, odpowiedziała Teresa, spuszczając oczy.

— Czy tak! rzekła hrabina z pewnym odcieniem pogardliwej ironii, wcale pokaźna sumka i łatwo będzie pani zwrócić ją komuś innemu, ale nie mnie. Dziwię się że opiekun nie objaśnił panią pod tym względem.

— Opiekun mój nic nie wie o tem, odpowiedziała z żywością panna Bridot; nie chciał mi dać pieniędzy, i oświadczył stanowczo że mi ich nie da dopóki nie dojdę do pełnoletności. Dlatego też nie radząc się nikogo, zastawiłam brylanty, i...

— Wybacz mi, panno Bridot, przed chwilą wyraziłam się zbyt ostro. Ten postępek przynosi ci zaszczyt; tylko serce wskazało ci niewłaściwą drogę. Ja teraz proszę panią usilnie, aby już o niczem podobnem nie było wzmianki. Schowaj pani, schowaj prędko ten pugilares... i mówmy o czem innem. Jakże się pani bawi w Trouville? ten sezon ma być nader świetny... Doprawdy bardzo mi przyjemnie widzieć panią...

Pomimo że te słowa były powiedziane z największą uprzejmością i dobrocią, Teresa doznała bardzo bolesnego uczucia, oczy jej napełniły się łzami.

Wstała i zamierzając już odejść rzekła stłumionym i drżącym od wzruszenia głosem:

— A! gdyby pani hrabina wiedziała jak dalece mogła mnie uszczęśliwić, i z jaką boleścią w sercu ztąd odchodzę!

Pani de Bussieres ujęła jej rękę i odpowiedziała z wyrazem szczerego współczucia:

— Bardzo mi to przykro, moje dziecię, ale inaczej być nie może. Ty nie masz prawa wynagradzać nam szkód poniesionych, a my nie mamy chęci przyjmować wynagrodzenia. Nie chcę zarówno po-

tępiać twego ojca, jak nie pozwalałam sobie nigdy potępiać mego męża. Panu de Bussiéres podobało się zajmować spekulacyami, a kto spekuluje, naraża się na straty.

Teresa odważyła się raz jeszcze powtórzyć swą prośbę, i zawołała:

— Jeźli pani nie chce przyjąć dla siebie, to dla syna!...

— Dla syna!

Raymund wszedł do pokoju.

— Pozwól, droga matko, abym sam odpowiedział:

Był blady, wzruszony, zostawał pod wpływem różnorodnych uczuć. Łatwo było odgadnąć że wszystko słyszał, że starał się zapanować nad sobą, że pod tym pogodnym na pozór i pełnym uprzejmości uśmiechem, ukrywało się jakieś dojmujące cierpienie.

— Jeżeli cośkolwiek zamąca spokojność pani, to, przynajmniej o ile się to nas dotyczy, całkiem niepotrzebnie. Utrata majątku okazała się dla nas poniekąd użyteczną, i gdybym się nie obawiał być posądzonym o przesadę, powiedziałbym że prawie powinniśmy się z niej cieszyć. Oboje z matką oceniliśmy się lepiej, a wspólnie znoszone ubóstwo wzmocniło nasze wzajemne przywiązanie. Będąc bogatym, przepędzałbym, jak dawniej, większą część czasu zdala od niej, bez żadnego użytecznego zajęcia, mój umysł i serce przesiąkłyby materyalizmem, otrętwiałyby w tem próżniactwie szkodliwem równie dla mnie jak dla innych; zestarzałbym się, nie żyjąc nigdy pełnem życiem. Dzięki okolicznościom zmuszającym mnie do pracy, młodość moja nie przejdzie marnie, charakter mój stał się energiczniejszym, dusza nabrała hartu... Nie uwierzy pani ile daje prowdziwego zadowolenia, ile budzi szlachetnego zapału parę franków zarobionych ciężko ale uczciwie! Następnie malarstwo wynagrodziło wszelkie moje trudy. Zaniedbywałem je, i gdyby nie ubóstwo i potrzeba zapracowania na kawałek chleba, byłbym je zarzucił zupełnie. Nie mogę więc mieć żalu do pana Bridot, któremu zawdzięczam mój talent, moją sławę, czynne i przyjemne życie artysty, wszystko co jest we mnie najlepszego, wszystko czego się mogę spodziewać w przyszłości, a nadewszystko ten niczem niezamącony spokój, tę dumną radość z jaką mogę ucałować moją matkę! Wszak prawda, droga matko, dodał, całując ją z czułością w czoło, że nie żałujemy niczego... że jesteśmy szczęśliwi?

Zamiast hrabiny odpowiedziała mu Teresa:

— Nie! zawołała z rozpaczliwem uniesieniem, z pełnem goryczy niedowierzaniem, nie, bo już nie macie męża i ojca!

— Ojca! powtórzył drżącym głosem Raymund.

— Męża! rzekła hrabina blednąc i przyciskając rękę do serca.

— Ha! miałam słuszność, wasze szlachetne usiłowania nie zdołały mnie złudzić. Domyślałam się prawdziwych powodów waszej odmowy. Są rzeczy których nigdy i niczem wynagrodzić nie można.

Te słowa zostały powtórzone natychmiast głosem silnym, pełnym oburzenia i złości.

Na progu stanął człowiek z oczyma pałającemi gniewem, z twarzą wyrażającą zaciętą nienawiść, z groźną postawą.

Raymund i hrabina przejęci trwogą, posunęli się jednocześnie ku niemu.

— Bouquaille! po co tu przychodzisz?... Co zamierzasz uczynić?...

Powstrzymał ich pełnym uszanowania ruchem.

— Panie Raymundzie, pani hrabino, znam ja dobrze mój obowiązek, i chętnie oddałbym za was życie... Ale nie mogę pozostawić dłużej pod moim dachem córki człowieka który mi wyrządził tyle złego; córki złodzieja i mordercy!

— Bouquaille! zawołali jednocześnie.

— Niech mówi, niech wypowie wszystko co ma na sercu, odezwała się Teresa; ma do tego prawo, skoro cierpiał, a moim obowiązkiem jest wysłuchać go. Kto wie?... kto wie,, czy przy szczerej chęci i woli, nie zdołam zwrócić mu tego co utracił?

— Zwrócić mi co utraciłem? zawołał Bouquaille, z którego oczu pałających gniewem jeszcze przed chwilą, potoczyły się łzy rzęsiste. Ja straciłem syna, jedynego syna, liczącego zaledwie dwadzieścia lat. W pocie czoła zbierając grosz do grosza, odłożyłem dwa tysiące franków, abym mógł dać za niego zastępcę w razie potrzeby; i byłem tak szalony że umieściłem te pieniądze u pana Bridot. O! nie o setki tysięcy franków ani też o pałace upominałem się od niego siedm lat temu, ale o życie mojego syna! Nie było go czem wykupić, poszedł do wojska i zginął walcząc z Austryakami. Czy wszystkie twoje miliony, panno Bridot, zdołają mu wrócić życie? czy możesz mi wrócić choćby zwłoki jego pozostałe tam gdzieś na placu bitwy? Czy potrafisz przywrócić przytomność umysłu jego matce, biednej mojej żonie, która z żalu po nim dostała obłąkania?... Hej! matko Bouquaille! chodź, przypatrz się tej pannie, abyś ją poznała w razie gdy znajdziesz sposobność wyrządzenia jej coś złego... chodź! to córka tego który cię pozbawił syna!

Zaledwie Bouquaille dokończył te straszne słowa, w przyległym budynku otworzyło się okno, a w nim ukazała się kobieta chuda, wybladła, z błędnemi oczyma i z potarganemi włosami.

Była to matka Bouquaille, obłąkana; niezdolna zrozumieć nic prócz słów wyrzeczonych przez jej męża. Wyciągnęła do Teresy kościste ręce z zaciśniętemi pięściami i zaczęła krzyczeć chrapliwym i groźnym głosem:

— Córka Józefa Bridot! mordercy mojego biednego Jana!... A! trzymam ją nakoniec! Biada jej! biada!

Rzucając na Teresę ten rodzaj klątwy, zniknęła w głębi pokoju, chcąc zapewne wybiedz drzwiami, które jak widać musiały być zamknięte, bo powróciła do okna, i jak się zdawało zamierzała przez nie wyskoczyć.

— Bouquaille, odezwał się surowo Raymund, dziś wieczorem dom opuścimy, jeżeli jednak nie uspokoisz natychmiast twej żony, wyjedziemy w tej chwili. Śpiesz się!

Następnie dodał podając rękę Teresie:

— Oboje z matką prosimy panią o przebaczenie. Będę miał zaszczyt odprowadzić panią.

Ukłoniła się hrabinie i wychodząc szepnęła z wyrazem boleści:

— A! przekleństwo ciąży nademną!

Raymund nie wyrzekł ani słowa, ale pomimowolnie przycisnął do siebie jej rękę.

Podniosła z żywością głowę, spojrzała na niego i oczy ich spotkały się z sobą. Trwało to jednak zaledwie chwilkę, twarz Raymunda przybrała wyraz spokojny, Teresa przyśpieszyła kroku. W parę minut później wsiadła na konia i odjechała śpiesznie.

Gdy się oddalała, młody hrabia de Bussiéres widząc ją tak piękną, tak godną kochania a tak nieszczęśliwą, rzekł do siebie pół-głosem:

— Ah! szkoda!

Teresa musiała to usłyszeć, bo z trudnością powstrzymała krzyk rozpaczy wyrywający się z jej piersi; uderzyła konia szpicrutą i puściła się galopem.

Nie mogła i nie chciała jeszcze wracać do domu; więcej niż dwie godziny przebiegała zupełnie sobie nieznane drogi i dróżki, potrzebowała samotności, chciała za pomocą fizycznego znużenia uśpić dręczące ją myśli.

Skoro wjechała w ustronne i dzikie miejsce koło stawu Mont-Saint-Jean, gałęzie rozsunęły się trochę, i wśród nich widać było przez chwilę dwie twarze straszne wyrazem chytrości i nienawiści: były to twarze znanego nam Bonami i Eustachego Gorju, zwanego Dzikiem.

— To ona! szepnął Bonami, przypatrz się jej dobrze abyś ją poznał gdy to nam będzie potrzebne.

— Bądź spokojnym, odpowiedział Dzik, staraj się tylko aby to nastąpiło jak najśpieszniej. Chciałbym zemścić się choćby dziś jeszcze.

Gałęzie zsunęły się napowrót, zasłaniając kryjówkę w której Dzik zmawiał się ze swym podżegaczem i towarzyszem, zasługującym aby go nazwano lisem.

Teresa nie widziała ich wcale, a zresztą była w takiem usposobieniu że ich obecność nie przeraziłaby ją bynajmniej. Jedna tylko rzecz przejmowała ją obecnie trwogą: rozpaczliwy niepokój własnego jej serca.

Wróciła do zamku dopiero koło wieczora. Salon był oświetlony, słychać w nim było rozmowę, śmiechy i dźwięki fortepianu.

Teresa zatrzymała konia przed małą wieżyczką, przez którą mogła wejść prosto do swego pokoju.

Zaledwie zsiadła z konia, Bob powitał ją radośnem szczekaniem.

— Biedny Bob, rzekła jedna ze służących, zwykle pani bierze go z sobą, to też dziś gdy pani pojechała sama, rzucał się, ciskał i wył żałośnie. Dziwi mnie to doprawdy że nie zerwał łańcucha aby pogonić za panią.

Widać jednak że Bob zerwał w końcu łańcuch bo kiedy Teresa otwierała drzwi od swego pokoju, wbiegł tam jeszcze przed nią, skakał, wspinał się na jej kolana, poszczekiwał radośnie.

Teresa nie umiała już dłużej zapanować nad sobą i wybuchła głośnym płaczem.

— Poczciwy mój Bobie, ty jeden mnie kochasz, ty jeden mną nie pogardzasz!

— Niewdzięczne dziecko! rzekła Henryeta ukazując się na progu.

VII.

W kilka dni później trudno byłoby już poznać jakie uczucia tak niedawno wstrząsały sercem Teresy, a może dotąd kryły się w niem jeszcze.

Zdawało się że nie myśli o niczem innem jak o zabawach, o przepychu i zbytku. Zmieniała toaletę pięć razy w ciągu dnia: a jakie to były toalety! Rano wycieczki na morze lub przechadzka na wybrzeżu, po południu spacery konno lub powozem, co wieczór bale, widowiska, koncerty. Nie pominęła żadnej sposobności zwrócenia na siebie uwagi, prawie wyrzucała oknem pieniądze, wymyślała najdziwaczniejsze rozrywki.

Niekiedy oczy jej błyszczały gorączkową radością, była wesoła, uśmiechnięta; częściej zostawała pod wpływem jakiegoś gorzkiego smutku, i chcąc otrząsnąć się z niego, wymyślała coraz nowe, coraz fantastyczniejsze rozrywki. Potrzeba jej było ruchu, wrzawy, aby zagłuszyć głos odzywający się w jej sercu, a którego słyszeć nie chciała.

Łatwo się domyśleć że w obec takiego składu rzeczy, posiedzenia co do portretu Teresy stawały się coraz rzadsze i krótsze; Jacquemart ubolewa

nad tem, ale się nie zrażał i większą część czasu przepędzał w zamku. Jeźli jako artysta podziwiał piękność Teresy, to jako człowiek pragnął zbadać jej dziwny i niezwykły charakter. Był to rodzaj zagadki którą chciał koniecznie odgadnąć, a lubił zawsze postawić na swojem. Pragnął poznać serce Teresy, ale miłość nie była powodem tego, czuł tylko szczerą, prawdziwą przyjaźń dla uroczej i zmiennej istoty, której malował portret a wkrótce przyłączyło się do tego trochę politowania. Zaczynał się domyślać że to zamiłowanie w zabawach jest tylko maską ukrywającą jakieś cierpienie, że Teresa Bridot pozornie swobodna, wesoła, musi być bardzo nieszczęśliwą.

Odtąd budziła w nim jeszcze więcej współczucia; przywiązał się do niej jak do rodzonej siostry.

— Na przyjaźń moją i Boba może pani liczyć zawsze z pewnością, powiedział kiedyś do niej.

„Te pełne prostoty słowa, wyrażające tak szczerą życzliwość, wzruszyły głęboko Teresę, częściej też następnie poświęcała poczciwemu przyjacielowi chwilkę czasu i rozmawiała z nim szczerze, otwarcie, swobodnie; dla tego też powtarzał jej nie raz:

— Jestem jedynym człowiekiem z którym pani jest zupełnie naturalną, a zatem jedynym także który mógł poznać panią z najkorzystniejszej strony.

Pewnego dnia zapytała go całkiem niespodzianie:

— Gdzie pan się kryje oddalając się od nas?— Nie spotykam pana nigdy w Trouville.

— Moim Trouville jest ferma Clos des Houx, czyli raczej mieszkanie pani de Bussiéres.

— A! więc pan widuje się często z panem Raymundem?

Było coś tak niezwykłego w dźwięku jej głosu gdy zadawała to pytanie, że to zwróciło uwagę Jacquemart'a; jednak nie dał jej tego poznać.

— A ma się rozumiéć, widuję go codzień.

— Czy kiedy mówił co o mnie? zapytała po chwili milczenia.

— Nie, nigdy, odpowiedział ze swą trochę szorstką szczerością.

Gorzki uśmiech przesunął się po ustach panny Bridot, twarz jej przybrała wyraz smutku, prawie boleści.

Jacquemart dla pocieszenia jej dodał półgłosem:

— Nie dowodzi to jednak że nie myśli także.

— Co pan mówi?

— Nic... nic... wyjąwszy że pan hrabia de Bussiéres jest bardzo skryty, i że najlepsi jego przyjaciele, nie wyłączając mnie nawet, wiedzą o nim to tylko co im chce powiedziéć.

Teresa przerwała raptem rozmowę i odeszła zamyślona.

Wszakże nazajutrz i następnych dni wracała do tegoż samego przedmiotu, a przynajmniej mówiła o pani de Bussiéres, co wychodziło na to samo jakby mówiła o Raymundzie.

— Ho! ho! czy też przypadkiem nie zaczynam odgadywać zagadki? pomyślał Jacquemart.

Z drugiej strony, Raymund pytał się często przyjaciela o jego arcydzieło, to jest o portret Teresy.

— Ho! ho! myślał znów Jacquemart, czy też czasem nie odgadnę razem dwóch zagadek?

Napróżno jednak starał się zbadać lepiej serce Raymunda, wszelkie jego usiłowania okazały się bezowocnemi.

Pani de Bussieres i Raymund nie mogąc oprzéć się prośbom Bouquaille'a, pozostali jeszcze w fermie i zamierzali wyjechać dopiero w początku jesieni. Raymund zaczął malować jakiś obraz, i mało wychodził z domu. Jacquemart'a nudziły samotne przechadzki, postanowił więc dla rozrywki spróbować czyby mu się też nie udało odmalować jakiegoś krajobrazu, i zaczął szukać miejscowości zdolnej obudzić w nim natchnienie! Przypadek zaprowadził go nad staw Mont-Saint-Jean.

Mało jest miejscowości równie malowniczych, a tak mało znanych i tak starannie ukrytych. Wyniosłe drzewa lasu Touque otaczają staw do koła, z wyjątkiem małej łączki przytykającej do niego z jednej strony. Dalej ciągnie się długie a wązkie pastwisko poprzecinane strumieniami i baryerkami; ostatnia z nich prowadzi do wąwozu mało uczęszczanego, z powodu że przystęp do niego bardzo przykry i trudny. Z drugiej strony las gęsty, a w nim wąziutka ścieżka, którą bez przewodnika wypadkiem tylko znaleźć można. Nader mała tylko liczba gości przybyłych do Trouville i odbywających wycieczki w okolice zna tę prześliczną miejscowość, jakby rozmyślnie ukrywaną przed wzrokiem profanów, przez zazdrośne zawady i przeszkody; tylko protegowany przez wieszczki strzegące tego uroczego zakątka, może odkryć wiodącą do niego dróżynę, znaną tylko pasterzom i zaczarowanym książętom.

Jacquemart należał do uprzywilejowanych. Pewnego razu, po południu, w piękny dzień wrześniowy, błąkając się po lesie przywdziewającym już jesienne szaty, dostrzegł jakby błyszczące zwierciadło przebijające przez rzedniejące różnobarwne liście; nie zrażony trudnościami, zaczął śmiało przeskakiwać moczary i bagna, przedzierać się przez zarośla, i tym sposobem dostał się nad brzeg stawu. Tu okrzyk zachwycenia wydarł się z jego piersi. Czyż stoję tu nad wybrzeżem amerykańskiego jeziora? pomyślał sobie; czyż ujrzę tu bobry pracujące nad wznoszeniem swoich mieszkań, żubry gaszące pragnienie, a tam w dziewiczych krzakach, może ukażą mi się Mohikanie i Komanchowie?

Ale zamiast tego wszystkiego, zobaczył tylko na stawie kaczki i żaby; dalej kilka rudych wołów i pasące się ładne, wcale nie dzikie krówki, ale nigdzie ani śladu ludzkiej jakiejś istoty. Za to krajobraz był cudnie piękny.

W pośród potrójnego okolenia wielkich drzew rozmaitego rodzaju, rozrzuconych i rosnących swobodnie wśród mchu i wysokiej trawy, błyszczało jasne zwierciadło przezroczystej wody, po którem rozpościerały się jakby flotylle lilij wodnych i lotusów, a przy brzegach odbijała się w falach jeziora bogata flora normandzka, rozwielmożniona na zielonych urwistych nadbrzeżach, wśród zarośli, i aż pomiędzy gałęziami topoli, jesionów, brzoz, wiązów i buków. Były to bluszcze, kapryfolium, dzikie wino, i niezliczone rodziny pnączów, dosięgających najwyższych szczytów, aby ztamtąd spuszczać bogate zwoje przeglądające się zalotnie w krysztale wód, lub tworzyć kaskady zieleni, którą wpływ jesieni ubarwił wspaniale w rozmaite odcienia, ciemne, czarne lub czerwone.

I wszystko to przedstawiło mu się pod pięknem błękitnem niebem, oświetlone wspaniałym blaskiem słońca, wśród takiej samotności i ciszy, że słychać było najlżejszy szmer strumyka, najlżejsze poruszenie skrzydeł kryjącej się wśród drzew ptaszyny.

Jacquemart nałożył sobie i zapalił fajkę, i uważając to za *nec plus ultra* wschodniej szczęśliwości, zaczął w milczeniu przyglądać się malowniczej miejscowości. Wtem, zapatrzony w kłęby dymu ze swego cybucha, dostrzegł rysujący się niewyraźnie w oddali gdzieś wysoko w pośród drzew, wielki prostopadły słup dymu, wznoszący się wprost ku niebu. W tejże chwili, na drugim końcu stawu, spokojna dotąd powierzchnia wody podniosła się w jednem miejscu, z niej wyłoniła się rybka, zabłyszczała chwilkę na słońcu i znikła gdzieś wśród zarośli. Widząc to artysta, zdziwił się niepomału że owa rybka tak sobie bez ceremonii spaceruje po lesie — zaczął wtedy rozpatrywać się baczniej, i zagadka została niebawem rozwiązaną. Długa żerdź wysunęła się z zarośli, wędka zaczęła poruszać się w powietrzu, haczyk opadł w wodę. Obok tego dym ciągle wznosił się w górę nad drzewami.

— Ten dym i ta wędka strasznie mnie intrygują, pomyślał Jacquemart, nie zaznam spokoju póki się nie przekonam co to takiego. Dalej do dzieła! tylko przezornie i tajemniczo, jak przystoi na tak wielkiego wodza jak ja. Wielki Manitu, udziel mi pomocy!

I jakby rzeczywisty Czerwonoskóry, ostrożnie, jak wąż, przesuwał się wśród wysokich traw, wysuwając niekiedy głowę z za pni, i bystre do koła rzucające spojrzenia. Gdyby tak Raymund zobaczył go teraz, najniezawodniej porównałby go do małpy.

Nasz orangutang zwrócił się tedy w kierunku dymu, co zmuszało go przedzierać się przez coraz gęstsze zarośla i pnącze, ku wielkiej kępie drzew. Ten nadmiar roślinności był wynikiem mułowatości gruntu, będącego wyschłem łożyskiem drugiego stawu. W samym środku przesmyku, dzielącego kiedyś dwa stawy, sterczały ruiny starego młyna, zzieleniałe, omszone, ponure, kryjące się przed wzrokiem ludzkim jakby czyhały na spełnienie zbrodni.

— Zapewne ukrywa się tu jaki stary trapper lub dziki myśliwiec, mówił sobie Jacquemart; jest to widocznie jego myśliwski wigman. Myślę jednak że bez narażenia się na oskalpelowanie mogę zajrzéć do wnętrza... A więc śmiało!

Żaden ruch, żaden szmer nawet, nie przeszkadzał mu w spełnieniu tego zamiaru. Doszedłszy do drzwi tylko przymkniętych, odepchnął je po cichu i wszedł do wnętrza.

Mury były grube, ale strawione wilgocią, rozstępowały się wewnątrz. Było kilka izb, których drzwi opatrzone były w bardzo mocne zamki i zasuwy. Zdawało się że izby najbliższe wejścia od dawna już były niezamieszkałe, w ostatniej, największej, leżał siennik napchany suchą trawą, nakryty kołdrą podróżną; na ognisku płonęły suche gałęzie oparte na kawałkach cegieł, przed ogniem stała rynka w której smażyła się potrawka z królika, wydająca woń dość apetyczną.

— Potrawka z królika na puszczy! szepnął artysta. Nie wiem jak się ona nazywa po kanadyjsku... ale chciałbym przynajmniej wiedziéć nazwisko i co za jeden jest Irokeńczyk co ją ma spożyć... Może znajdę coś takiego co mnie naprowadzi na trop.

Na nieszczęście garderoba nie była zasobniejszą jak umeblowanie: daremnie Jacquemart przejrzał wszystkie kąty, nie znalazł nic prócz pary kaloszy i ogromnego kija.

— Jego *mokassyny* (obówie) i *tomahawek*! (rodzaj pałki) zawołał.

Nareszcie pod siennikiem znalazł owinięte w szmatę ze starej koszuli kilka narzędzi żelaznych, bardzo podobnych do wytrychów i pilników, jakie figurują zazwyczaj między dowodami składanemi przed sądami karnemi.

— Przez Wielkiego Ducha! krzyknął Jacquemart, czyżbym się dostał do jaskini rozbójników z Sawanny!...

I opuściwszy ruderę z większą jeszcze ostrożnością niż przyszedł, powrócił nad brzeg stawu. Tu widział jak wędka wysuwa się ciągle z zarośli — milczenie nieprzerwane zaległo do koła. Obszedł wybrzeże i ujrzał z przeciwnej strony mały statek pokryty słomą, w którym siedział rybak.

Był to mężczyzna dość wysoki, chudy, kościsty,

żylasty, zdawało się nadzwyczaj silny, mający w sobie coś kociego czy tygrysiego, pół-kuglarz, pół-bandyta. Miał brunatne pół-aksamitne pantaliony, bawełnianą niebieską kurtkę, głowę obwiązaną chustką czerwoną w kratę.

— Zdrajca z *Ostatniego z Mohikanów*, pomyślał Jacquemart; to Magua, zmyślny Lis!

Był to po prostu Eustachy Gorju, zwany Dzikim.

Artysta ciągle przyglądał mu się niewidziany, aż nagle kichnął. Gorju odwrócił się prędko. Zobaczywszy dziką twarz jego, Jacquemart utwierdził się jeszcze w swych amerykańskich przypuszczeniach, i rzekł poważnie, kłaniając się jak najgrzeczniej:

— Brat mój jest wielkim wodzem, i nie potrzebuje się lękać Bladej-Twarzy. Czy jako zadatek pokoju brat mój nie zechce przyjąć kilka kropli ognistego napoju i tego wonnego narkotyku?

I jednocześnie jedną ręką podał mu flaszkę z wódką, drugą dwugroszowe cygaro. Zmyślny Lis przyjął oboje nie dając się prosić, poczem rzekł głosem ochrypłym, dzikim, ale najzupełniej francuzkim językiem z ulicy Mouffetard.

— Czy chcesz pan łowić ryby? mam drugą wędkę, nie zabraknie ryb w stawie Mont-Saint-Jean.

— Dziękuję, nie dla łowienia ryb na wędkę przybyłem na brzegi stawu; jestem artystą-malarzem... O! chwyta! chwyta!... Niech przemyślny rybak nie troszczy się o mnie; powrócę jutro... Wtedy brat mój przekona się że język mój nie jest bezwładny... a i uszy moje staną dla niego otworem... A teraz, sza! sza! do jutra!

I odszedł prędko, a osłupiały z zadziwienia Eustachy Gorju, pewnym był że nieznany ten przybysz uciekł gdzieś z domu waryatów.

Co do artysty, ten odszedł prędko, mówiąc sobie: Jeźli powrócę zdjąć szkic pięknego tego krajobrazu, będę uzbrojony od stóp do głów.

Na pierwszym zakręcie drogi postrzegł nadchodzącego Bouquaille'a; szedł z pochyloną głową, utkwił wzrok w ziemię wyprawiając różne giesta, jak człowiek owładnięty jakąś złą myślą, mówiący sam z sobą.

Masz tobie! pomyślał Jacquemart, ciekawym co on ma do roboty nad stawem Mont-Saint-Jean?

I ukrył się cichaczem za gruby pień jesionowy. Bouquaille minął go nie zobaczywszy wcale, i poszedł ku stawowi.

Coraz więcej zaciekawiony, Jacquemart zawrócił się, wszedł na wzgórek gęsto zarosły leszczyną, i rozsunąwszy nieco liście, urządził sobie punkt obserwacyjny.

Niebawem zeszli się z sobą nad stawem Bouquaille i tajemniczy gość z młyna; zdawało się że znali się z sobą i jedną ożywieni myślą, jedną zajęci sprawą, zwracali groźnie pięście ku jednej stronie horyzontu — może ku pałacowi de Bussières.

— Jest w tem coś dziwnie podejrzanego, rzekł sobie. Cóż za odrażające fizyognomie!... możnaby przysiądz że knują jakąś straszną zmowę... Ale przeciw komużby?... To sęk!.. Pomyślę ja o tem...

VIII.

Nazajutrz, około drugiej po południu, Raymund rozpiął wielki swój parasol artysty u stóp urwistych skał nadbrzeżnych, nazwanych *les Creuniers*.

Wysokie te skały, poczerniałe przez czas, porozrywane burzami, podobne są do zwalisk wielkiego jakiegoś zamczyska. Na ich grzbietach, wyrwach i rozpadlinach rozłożyła się bogata roślinność; u stóp wznoszą się korony wielkich drzew, a dalej jeszcze górzyste grunta, dziwacznie pokrajane. Naprzeciw tego wszystkiego, o jakie dwieście sążni dalej, błyszczy powierzchnia fal morskich. Śliczny to i malowniczy krajobraz.

Wówczas kończono dopiero drogę ciągnącą się około Creuniers. Zapuszczały się nią już niektóre wozy i kariolki, co jednak nie zupełnie było bezpieczne, gdyż tu i owdzie napotykano głębokie rozpadliny, a na łąkach, czasowo nieogrodzonych, pasło się bydło, które zdawało się jakoś bardzo zaniepokojone tą zmianą niezgodną z ich nawyknieniami.

Upał był nieznośny; muchy bardzo dokuczały. Dozorcy drogi przestrzegali Raymunda, aby się strzegł bydła rogatego, a szczególniej czarnego buhaja.

Jakoż ten czarny buhaj miał naprawdę groźną minę. Krwią zaszłe oczy, nozdrza pałające; chodząc uderzał się po bokach ogonem i potrząsał głową uzbrojoną potężnemi rogami, gdyby się ukazał w cyrku hiszpańskim, obsypanoby go oklaskami.

Ale Raymund miał za sobą doświadczenie, zimną krew, przytomność umysłu i drąg okuty ostro zakonczonem żelazem, który wbity w ziemię podtrzymywał wielki parasol z czarnego płótna. Zresztą trochę niebezpieczeństwa nie zmniejszało w jego oczach piękności krajobrazu.

Malował już przeszło dwie godziny z największym zapałem, gdy od strony Trouville zaczęły do niego dochodzić jakieś wesołe okrzyki, śmiechy, trzaskanie biczów i dźwięki dzwoneczków.

Wkrótce zjawił się dziwaczny i oryginalny ekwipaż, ośm osłów zaprzężonych parami, czterech koniuszych à la Daumont, z których najmniej świetne stanowisko w świecie zajmował hrabia Bayador. W małym i zgrabnym powoziku wypletanym z łoziny, siedziały dwie kobiety: pewna księżna cudzoziemka i Teresa.

Obiedwie miały na sobie ubranie jaskrawe, krzyczące, w którem przemagał kolor ponsowy.

Czarny byk, rozdrażniony zgiełkiem a więcej jeszcze widokiem czerwonego koloru, pochylił głowę i zaczął biedz prosto ku powozowi w którym widział kolor ponsowy, pobudzający go do gniewu.

Szczęściem Raymund był blizko; wyciągnął z ziemi drąg okuty, i spokojnie, prawie nie poruszając się z miejsca, zapuścił ostry jego koniec w nozdrza nadbiegającego byka, który ryknął boleśnie i uciekł na drugi koniec pastwiska.

Następnie osadził parasol na właściwem miejscu, i zabierając się napowrót do pracy, rzekł grzecznie i takim tonem jakby spełnił rzecz najprostszą w świecie:

— Mogą panowie jechać dalej... nie lękając się niczego; zapewniam panie że nie ma już żadnego niebezpieczeństwa.

Tak margrabia Bayador jak i towarzysze jego zachowali się nazbyt biernie w tem całem zdarzeniu, aby chcieli przedłużać tę scenę, popędzili więc osły i wkrótce znikli wraz z niemi.

Księżna objawiła przestrach krzykiem; Teresa siedziała spokojnie, nie widziała nic prócz Raymunda wszystko zresztą mało ją obchodziło. Na chwilę spojrzenia ich spotkały się z sobą, i zdawało jej się że w jego oczach wyczytała toż samo co tak niedawno wymówiły jego usta: „Ach! szkoda!"

W godzinę później fantastyczna kalwakata wracała piechotą, gdyż koło powoziku uderzyło tak silnie o kamień, że oś pękła i nie można było jechać dalej.

Księżna wsparta na ramieniu Teresy zbliżyła się do artysty chcąc mu podziękować.

— Nie zasłużyłem na podziękowanie pani, odpowiedział, była to rzecz tak łatwa i prosta, że pierwszy lepszy wieśniak z okolicy byłby uczynił toż samo. U nas byki nie są tak groźne jak pani sądzi, ten zaś, ktory przestraszył panią jest łagodny jak baranek: tylko nie lubi wrzawy i kolorów jaskrawych.

— Doprawdy, panie artysto, możnaby sądzić że pan podziela jego zdanie.

— Jestem równie jak on Normandczykiem.

Zamieniono jeszcze kilka słów i panie odeszły.

Teresa nie brała wcale udziału w rozmowie, lecz nazajutrz przejeżdżała tąż samą drogą w skromnym powozie, w towarzystwie pani Vauquelin, obiedwie były ubrane prawie czarno. Raymund był tam jeszcze; zdawało jej się że zauważył zmianę zaszłą w jej stroju i że uśmiechnął się do niej przyjaźnie i z zadowoleniem.

Od owego dnia zarzuciła zupełnie wszelkie jaskrawe stroje, zdawało się nawet iż żałuje tego że mogła znajdować jakąś przyjemność w takich świecidłach i błahostkach. Jacquemart spostrzegł tę wielką zmianę; obserwował bacznie i roztrząsał postępowanie Teresy, i powoli, stopniowo, zaczął sobie tłomaczyć i pojmować wszystko, aż wreszcie rozwiązał pierwszą zagadkę, mówiąc sobie: Ona go kocha!

I dziwna rzecz! zdawało mu się że podobny wniosek powstawał w umyśle pani de Bussières. Mówiła z nim często o Teresie Bridot; z mowy jej możnaby sądzić że się jej obawiała i pragnęłaby aby sobie odjechała gdzieś daleko; jednakże w słowach jej nie było ani żółci ani gniewu — była tylko bardzo smutna. Gdy wieczorem syn jej wracał do domu, patrzyła na niego z najgłębszem współczuciem, i przyciskała do serca z nieograniczoną czułością zaniepokojonej matki.

Zdawało się że Raymund nie dostrzega tej niemej boleści i niepokoju. Był ciągle głęboko zamyślony i roztargniony, wychodził z domu bardzo rano i wracał późno, po wieczerzy znajdował zawsze jakiś powód aby śpiesznie oddalić się do swego pokoju. Już to wymawiał się znużeniem, już pilną nazajutrz czekającą go pracą, już nareszcie bólem głowy.

Pewnego dnia, gdy po raz pierwszy rozpalono ogień na kominku, usiadł przed nim na nizkim drewnianym stołku, wsparłszy łokcie na kolanach a głowę na ręku i zatonął w głębokiej zadumie.— Tak upłynęło z pół godziny, poczem hrabina wstała, cicho zbliżyła się do syna i odjęła ręce jego od twarzy. Łzy płynęły z jego oczu.

— Synu mój!.. dziecię moje ukochane!.. co tobie?

— Ach! matko moja!... muszę, muszę sprawić ci wielką przykrość...

— Będzie to pierwsza z twej przyczyny. Mów śmiało, Raymundzie.

— Matko ukochana, muszę rozstać się z tobą... muszę udać się w podróż.

— Gdzież chcesz jechać?

— Do Włoch, na Wschód... gdziekolwiek... To tylko wiem że gdy człowiek uczciwy uczuje iż zguba zagraża mu namiętność, nie wolno mu poddać się jej, powinien oddalić się... aby mógł zapomnieć.

Pani de Bussières uściskała syna i odpowiedziała:

— Rozumiem cię, Raymundzie. Możesz odjechać kiedy zechcesz.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 18.

(Dokończenie).

Ryc. 36 przedstawia płaszczyk z pledowego materyału w guście tureckim, oszyty bogatą frendzlą jedwabną, a podszyty fularem ponsowym.

N. 38. Płaszczyk z kapturkiem. Krój N. III Fig. 14 i 15.

Ryc. 38 przedstawia płaszczyk z *faille*, podszyty serżą kolorową, ozdobiony bogatym garnirunkiem i zręcznym kapturkiem. Płaszczyk jest na ramionach nadmarszczony, a potrzebny na zmarszczki materyał dodaje się w krajaniu do ramion przodów i pleców, jak to linijki wskazują. Podszewka w środku kapturka jest z serży kolorowej, w bufki przemarszczanej; 6 cent. szeroka, wachlarzowo układana koronka, naszyta jest przy brzegach kapturka od X do Z i z obydwóch stron przy szwie pleców, od Z do punktu. Z takiej samej koronki dany garnirunek u dołu nad frendzlą i fryzka przy szyi. Pasmanterya ozdobiona dżetem lub stalowemi perełkami. Kokardy ze wstążki atłasowej 7 cent. szerokiej.

N. 39 — 40. Paletocik wcięty do figury. Krój N. I Fig. 1—9a. Zobaczyć ryc. 13—14.

Na ryc. 14 dajemy w naturalnej wielkości jedną figurę do pasmanteryi dżetowej, zdobiącej paletocik, a na ryc. 13 model rzuciku wyszytego u dołu na atłasowej kamizelce i na kołnierza. Pod haft podkłada się podszewkowy muślin i podszewkę z ponsowego surah. Pierwsze i drugie części przodu zachodzą od gwiazdki do dwukropka i od dwukropka do D na kamizelkę, a od dołu są wraz z przedniemi boczkami kamizelką przedłużone; plecy zaś i drugie boczki zajmują całą długość paletota. Kieszonki przyszyte na przodach w miejscach literą D i O oznaczonych, dochodzą do bogatej torsady z dżetu i perełek złotych, a pod tylne brzegi kieszonek przyszyte są szarfy 26 cent szerokie a 110 długie, zrobione z tej co paletocik materyi a podszyte kolorową surah, z tyłu na sutą kokardę związane. Naszycie koronki wskazane jest na ryc. 40.

Opis do N-ru 19

N. 1. Serweta z kolorowym haftem płaskim i sznureczkowym. Deseń na arkuszu z krojami fig. 74 — 75.

Tło serwety liczy w kwadrat 75 cent., brzegi oszyte nicianą koronką 11 cent. szeroką. Fig. 74 na arkuszu z krojami załącza połowę narożnika i część szlaku wraz z figurą wyszytą w środku szlaku, a fig. 75 podaje ósmą część środkowego kwadratu; całość deseniu łatwo złożyć i dopełnić podług ryciny 1. Na serwetę użyć można mocnego żółtawego płótna; wyszycie dane bawełną szafirową i ponsową, zamiast koronki brzegi można oszyć frendzlą.

N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Do spódnicy z materyału w wielką szkocką kratę na tle ciemnem, dodany stanik z odpowiedniego gładkiego materyału, zapinany na dwa rzędy płaskich złoconych guzików piękną robotą ażurową i na pentlice z jedwabnego sznura. Oryginalne rękawy przemarszczone są w bufy przy ramionach i przy aksamitnych gładkich mankietach, odpowiednio do których dodany jest kołnierz wykładany.

N. 3. Suknia z frakowym stanikiem.

Spódnica w górnej połowie przemarszczona jest w drobniutkie bufeczki, niżej zaś ma przerzuconą szalową draperyę, a z tyłu upięcie z prostego bryta. Stanik z frakową baskiną z tyłu, ma przody ścięte bawetowo i przewiązane u dołu w nowy sposób rodzajem zfałdowanej szarfy; z przodu wzdłuż zapięcia dane przybranie nakształt żabotu, ułożone z materyału jakim cała suknia jest przybrana (np. atłas w pasy przerabiane złotem). Model rycina 3 był z piaskowego kaszmiru zdobny ciemno-bronzowym atłasem w pasy przetykane złotą nitką, z którego dany garnirunek u dołu sukni, upięcie żabotowe, szarfa, mankiety i kołnierz wykładany.

N. 4—5. Taboret zdobny aplikacyą. Deseń na arkuszu z krojami fig. 34.

Taboret 30 cent. wysoki. 54 cent. długi a 40 szeroki, ma siedzenie ozdobione piękną aplikacyą, odrobioną z nowego rodzaju materyału adamaszkowego jedwabnego, przerabianego na podobieństwo plecionej kratki, do pokrycia taboretu użyty plusz ponsowy, aplikacya zaś jest koloru vieil-or. Rycina 5 daje czwartą część środkowego deseniu w naturalnej wielkości, zaś na fig. 34 załączamy narożnik. Wszystkie brzegi aplikacyi otoczone są niedziełoną nitką ponsowej filozeli, przeszywanej poprzecznemi ściegami, między któremi filozela jest wysuwana odstająco; żyłki środkowe w figurach deseniu dodawane ściegiem sznureczkowym. Wypukłe boki taboretu przepinane są sznurem jedwabnym, a w połowie wysokości przykryte szmuklerską frendzlą 15 cent. szeroką.



1 — 4. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z kaszmiru i aksamitu ze stanikiem paltocikowym. Plecy do ryc. 2 na ryc. 26 w N. 19.

N. 2. Sukienka dla dzieci lat 1-3. Krój na arkuszu z formami N. VI, Fig. 31—32.

N. 3. Płaszczyk długi dla dziecka. Krój podług ryc. 30 w N. 46 z roku 1880.

N. 4. Ubranie dla piastunki.

N. 6. Teka na pisma peryodyczne. Malowanie na drzewie. Desenie patrz fig. 36a i 36b na arkuszu z krojami.

Teka efektownie przyozdobiona malowaniem liczy 42 c. długości a 32 wysokości; szlak brzeżny zajmuje 9 cent.; desenie podane na fig. 36a i b, łatwo uzupełnić podług ryc. 6. Deseń zostaje koloru jasno-drzewnego a tło pociąga się kolorem bronzowym Van Dyck, linje proste i cienkie gałązki w deseniu są koloru drzewnego, liście zaś blado-zielone, małe gwiazdki niebieskie i ponsowe, a figury większe w narożnikach są odrobione kolorem blado-niebieskim, żółtym, zielonym i ponsowym. Środkowy pejzażyk malowany kolorowo blademi cieniami. Brzegi teki pozostające za deseniem powinny być czarne.

N. 7—12. Modne parasoliki.

Podajemy różne modele modnych parasolików, zdobnych kokardami z wstążki w jednym lub kilku kolorach, kwaścikami ponpons na jedwabnym sznurze, zasuwany kółkami takiemi jak przy wachlarzach. Zamiast małych parasolików ze spiczastemi chińskiemi czubkami modne są duże, zupełnie płaskie parasoliki, złożone z 16 wąziutkich kwaterek, przyszytych do złoconych pręcików. Pokrycie zwierzchnie dane z pięknych kosztownych materyj deseniowych jedwabnych lub w oryginalne desenie z figur, postaci ludzkich, roślin i zwierząt; szczególniej paski przy parasolikach en-tout-cas odznaczają się dziwacznym kształtem. Najwięcej używane pokrycie parasolików stanowi atłas i materya kiprowana w jednym kolorze, w kratę lub w pasy; świetny złoty i różne cienie vieil-or panują i tutaj; koronkowy garnirunek przy brzegach stanowi bardzo eleganckie zakonczenie.

N. 13—14. Modele kapeluszy nieubranych.

N. 15. Kołnierz chusteczkowy.

Forma kołnierza przedstawionego na rycinie 15, przypomina kołnierze noszone przez dawnych giermków: dla osoby szczupłej taki kołnierz aksamitny objęty atłasem i ogarnirowany koronką robi bardzo do twarzy. Pod szyją związuje go sznur jedwabny z kwastami, zamiast sznura użyć można kolorowej szneli.

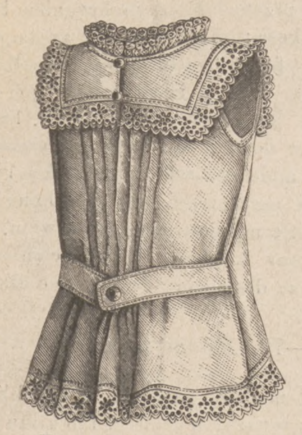
N. 16. Paletot dla chłopca.

Krój paletotów dla chłopców nie zmienia się od lat paru, dla tego też nie dajemy formy, gdyż takową dopasować można podług podawanych poprzednio w Tygodniku. Dla małych chłopczyków można dodać do paletocika kapturek lub pelerynkę, albo ozdobić kolorowemi wypustkami, dla starszych zaś można w około brzegów dać stębnówkę. Kołnierz bywa wązki stojący lub wykładany jak na rycinie 16.

N. 17—19. Paletocik z kapturkiem dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 44—50a.

Rycina 19 przedstawia przód paletocika z wcinanemi plecami, dopełnionego pelerynką, odpowiedniego dla dziewięcioletniej dziewczynki, zaś na rycinie 17 widzimy takiż paletocik dla panienki dwunastoletniej, ozdobiony kapturkiem zamiast pelerynki. Formę podaną na fig. 44—46 dopełnić trzeba podług miar wskazanych na zmniejszonym formacie kroju. Wzdłuż przednich brzegów dodaje się materyału na fałdę 3 cent. szeroką, przestębnowaną na 1/2 cent. od brzegu, a w odstępie 14 cent. od dołu wolno puszczoną. Takież fałdy dane przy szyciu pleców z boczkami, a materyał potrzebny na nie naddaje

się przy krajaniu. Gładkie mankiety otaczające rękawy są 9 c. szerokie. Fig. 50 załącza położenia

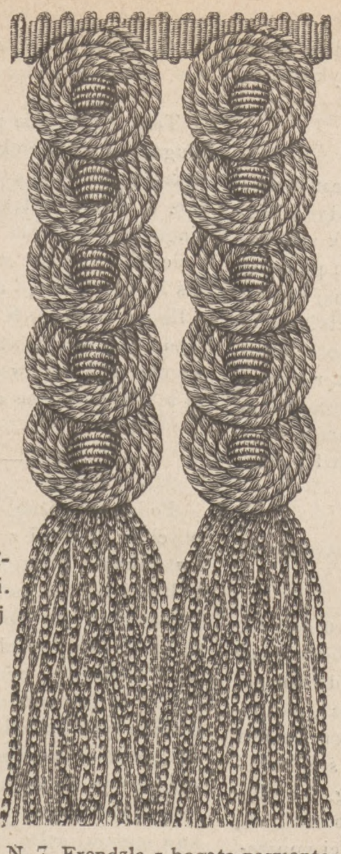


N. 5. Fartuszek bluzkowy z kołnierzem dla małej dziewczynki. Zobaczyć przód na ryc. 6. Krój N. XV, Fig. 66—67.

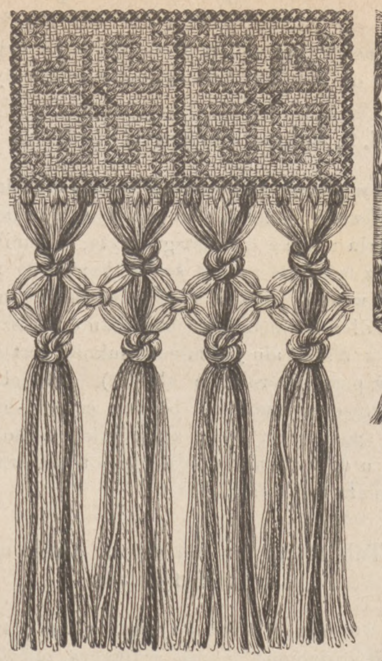
wę kapturka, wyłożonego atłasem; obie połowy łączą się od gwiazdki do dwukropka, poczem przy wykroju szyi zakłada się dwie fałdy, a materyał zbywający między niemi marszczy do 20 cent. szerokości. Ażeby kapturek się nie podnosił, trzeba u dołu zaszyć kawałek ołowiu.



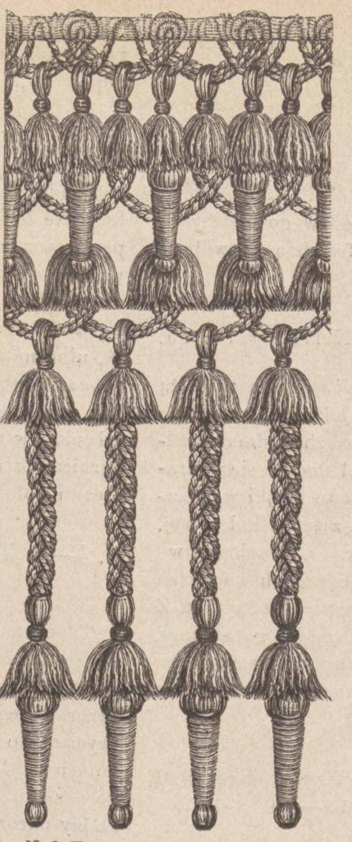
N. 9. Greloty szmuklerskie do przyozdobienia mantyl, sukien i t. p.



N. 7. Frendzla z bogatą pasmanteryą, do płaszczyków, mantyl i t. p.



N. 16. Szlaczek robotą krzyżową i frendzla do stoliczka ryc. 15.

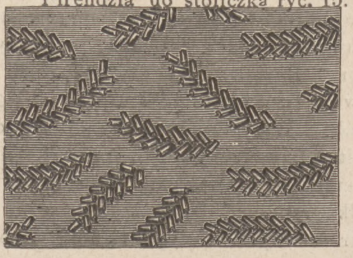


N. 8. Frendzla z szerokim ozdobnym nagłówkiem, do płaszczyków i t. p.

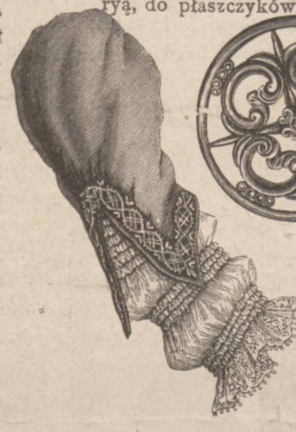
związaną z boku. Stanik dopasowany podług załączonego kroju, przybrajest gładkim i marszczonym atłasem.



N. 6. Fartuszek bluzkowy dla małej dziewczynki. Plecy na ryc. 5. Krój N. XV, Fig. 66—67.



N. 13. Rzucik wyszyty na atłasie szmelcowanemi perełkami do ryc. 39 i 40.



N. 17. Rękaw Chatelaine. Krój N. XIII Fig. 63-64.



N. 11. Ażurowy metalowy guzik, jakie w różnych deseniach i wielkości są modą.



N. 12. Guzik wklęsły rogowy ozdobiony metalem.



N. 18. Rękaw pazioski.

N. 22—25. Ubrania domowe lub spacerowe.

Vêtement do sukien przedstawionych na ryc. 22 — 25 są formą princesse, a wykończenie daje się zastosować do wszelkiego rodzaju materyałów cięższych lub lżejszych, gładkich czy deseniowych.

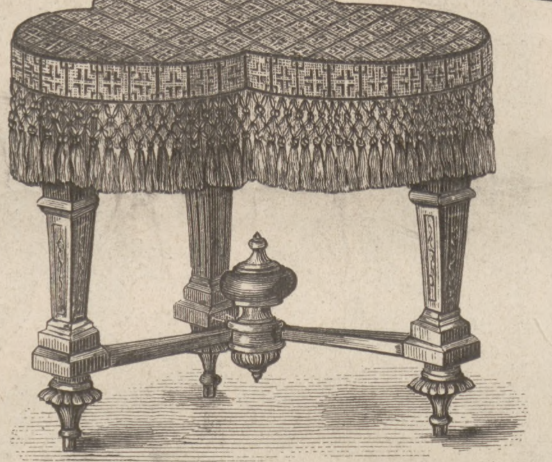


N. 10. Greloty szmuklerskie z dżetem.

N. 20 — 21. Sukienka dla dziewczynki lat 8-10.

Krój na arkuszu N. IV, Fig. 16—23.

Rycina 20 i 21 przedstawiają sukienkę z ciemno-bronzowego kaszmiru ze stanikiem z baskiną i pelerynką. Przyszycie falbany 30 cent. szerokiej, naszytej pliską atłasową przykryte jest szarfą atłasową 20 cent. szeroką;



N. 15. Stoliczek w kształcie listka koniczyny z przykryciem robotą krzyżową. Zobaczyć szlaczek brzeżny i frendzlę na ryc. 16.

N. 22—23. Suknia z vêtement z bawełnowym paskiem.

Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 39—43a.

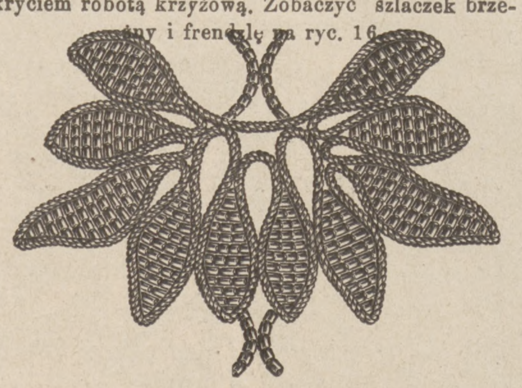
Spódnica nie sięgająca do ziemi zakończona jest szerokim wolantem układanym w kontrafałdy. Krój vêtement podaliśmy w naturalnej wielkości, lecz dla braku miejsca Figu



N. 19. Płaszczyk z beduinową peleryną. Zobaczyć przód na ry. 20. Krój N. XI, Fig. 60-61a.



N. 20. Płaszczyk z beduinową peleryną. Plecy krój ryc 19.



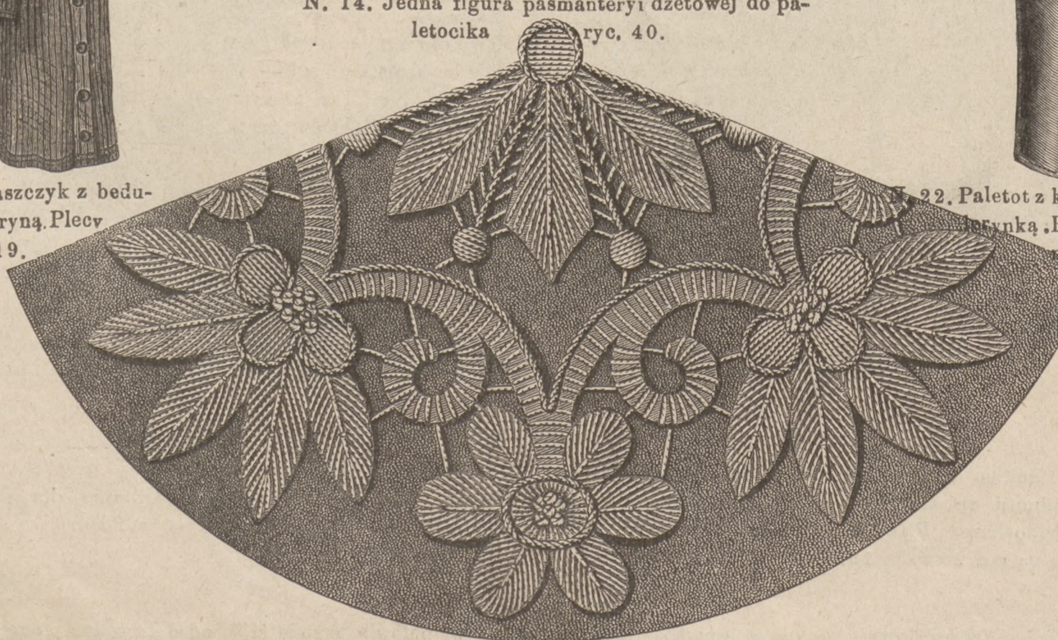
N. 14. Jedna figura pasmanteryi dżetowej do paletocika ryc. 40.



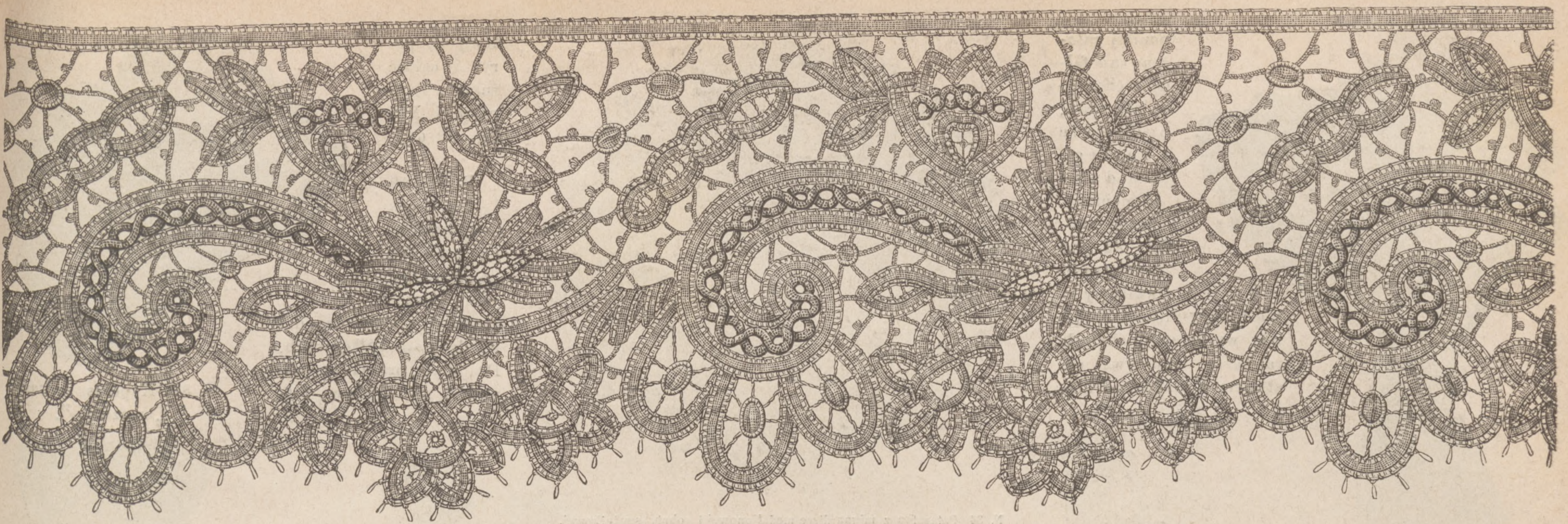
N. 22. Paletot z krótką peleryną. Przód, krój ryc. 21.



N. 21. Paletot z krótką peleryną. Plecy na ryc. 22. Krój N. X, Fig. 51—59a.



N. 23. Haft w guście koronek hiszpańskich, z podkładaniem atłasu, deseń na patarafki lub t. p.



N. 28. Naśladowanie koronki „ponit duchesse" robota ręczna z tasiemeczką koronkową.

ry 39 — 40 są niecałkowite, a przodykrajane w jednym ciągu z boczkami dane są w dwóch częściach, które wzdłuż linii przecinającej formę łączą się od gwiazdki do dwukropka. Zestawienie wszystkich części kroju ułatwia zmniejszony format fig. 39a—43a. Boczki fałdują się od *E* podług krzyżyków i punktów do 40 cent., plecy zachodzą na boczki, przemarszczone są z 88 cent. do 29, dalej zaś na 11 cent. zszyte gładko, a końce mają luźno



N. 25. Kapturek na głowę, robiony na drutach. Próbka roboty w naturalnej wielkości na ryc. 42.

puszczone. Szerokość naddana u góry założona jest z boków w podwójną kontrafałdę. Rycina 23 wskazuje, iż przody zapięte są jednym rzędem guzików, tylko na 20 cent. od dołu brzegi ich rozchodzą się i są naszyte guzikami. Kokardy przy vêtement i pasek spuszczony bawetowo i spięty nakształt szarfy, z przodu jest z atłasu odpowiedniego do sukni koloru, złożonego podwójnie, wysiepanego na frendzlę przy końcach; pasek ten złożony w równe fałdy wpuszczony jest w szwy boczne. Mankiety i kołnierz dopełniony z tyłu rodzajem kapturka jest również z atłasu.



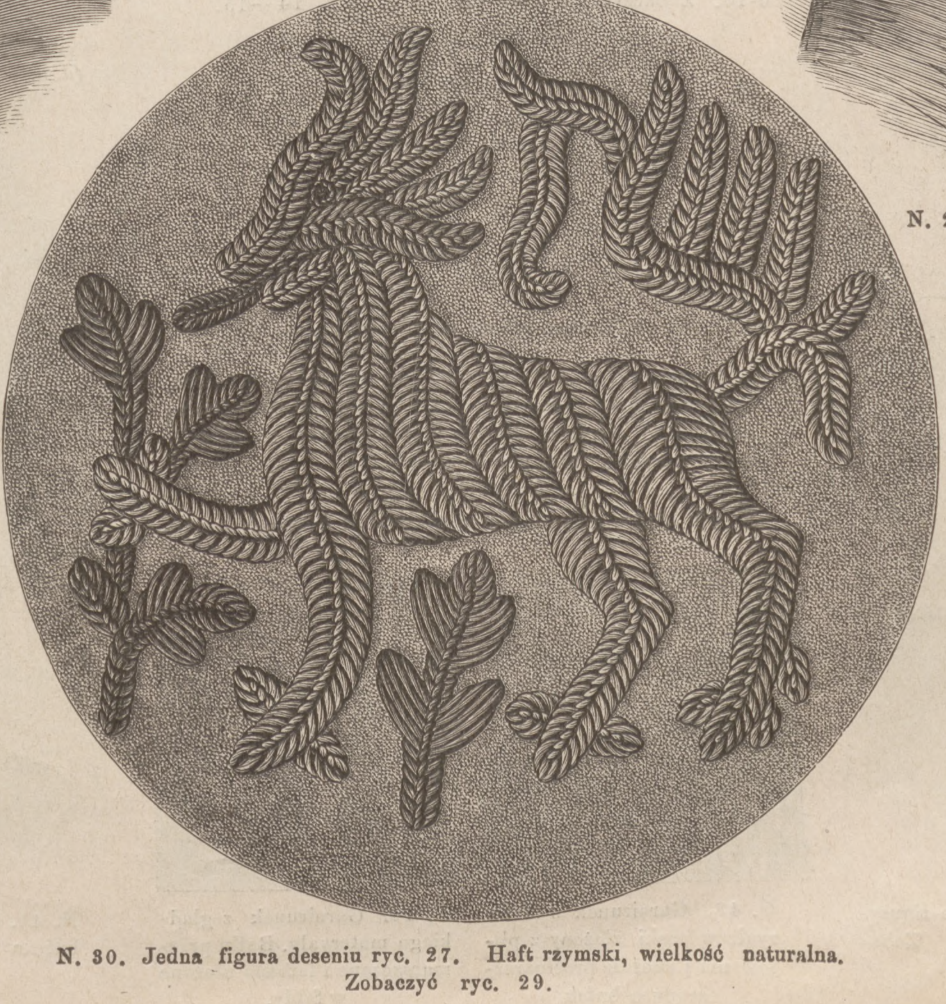
N. 27. Deseń w guście starożytnym na fotel. Robota zdzierana na skórze, albo haft rzymski na suknie, płótnie żaglowem i t. p.

N. 24—25. Vêtement z krótkim paskiem. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 33.

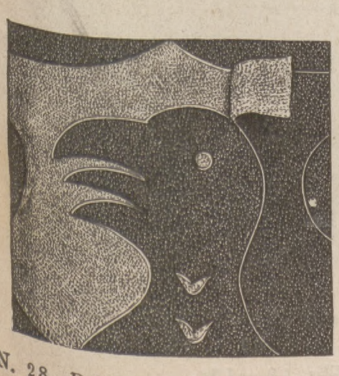


N. 26. Czepeczek z surah i koronki złotej.

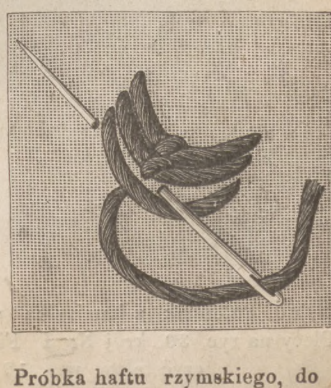
Do spódnicy całej zaplisowanej przestębnowanej w odstępie 10 cent. od dołu, włożone jest vêtement szeroko otwarte z przodu. Zmniejszony format kroju fig. 33 wskazuje zmiany w formie i upięciu podług kroju Numeru VIII; *a* oznacza przody krajane w jednym ciągu z boczkami, z boków podpięte w kilka fałdów, a z brzegu podszyte plisą atłasową której szerokość oznacza linja prosta. Plecy gładkie na długość zwykłej baskiny,



N. 30. Jedna figura deseniu ryc. 27. Haft rzymski, wielkość naturalna. Zobaczyć ryc. 29.



N. 28. Próbka roboty zdzieranej na skórze do ryc. 27.

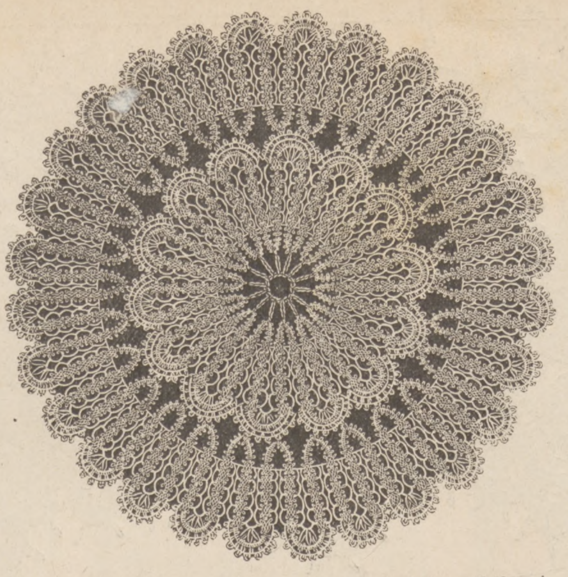


N. 29. Próbka haftu rzymskiego, do ryc. 30.



N. 31. Kapelusz angielski zwany „Our grannie".

poniżej założone są w fałdy zachodzące pod spód; podpięcie z każdego boku dane odmiennie, dlatego na fig. 33 pod literą *b* przedstawiliśmy obie połowy pleców. Jeden bok wywinięty nakształt ranwersu podszywa się atłasem i przyczepia niewidocznemi sciegami na boczku; z drugiej strony składają się fałdy podług wskazanych znaków, a brzeg dolny od gwiazdki do dwukropka stanowi po zfałdowaniu brzeg boczny i zszywa się z boczkiem. Stanik ma dodane chusteczkowe przybranie z plisowanego atłasu, przepięte króciutkim paskiem 6 cent. szerokim. Model był (z piaskowego kaszmiru zdobny takimż atłasem i płaskiemi guzikami z konchy perłowej.



N. 34. Patarafka z mignardisse medaljonowej i roboty szydełkowej.



N. 35. Teka na rękawiczki. Aplikacya i haft szmaragdowym ...wany. Krój N. XIV, Fig. 65.



N. 36. Okrycie z szerokiemi rękawami. Zobaczyć frendzlę na ryc. 8, krój podług ry. 37.



N. 37. Okrycie z szerokiemi rękawami, krój i deseń N. II, fig. 10-13. Zobaczyć ryc. 36 i 41.



N. 38. Okrycie z kapturkiem. Krój N. III, Fig. 14—15.

Krój draperyi i całość sukni z tyłu; patrz N. XII fig. 62-62a.

Rycina 29 i fig. 62a przedstawiają suknię z oryginalnie upiętą draperyą, odpowiednią dla młodych szczupłych osób. Draperyę przyszywa się wprost na spódnicy, fałdując podług znaków wskazanych na fig. 62; dwie gwiazdki oznaczają brzeg pozostający wzdłuż przy rozporku sukni; następnie składają się fałdy podług krzyżyków i kropek oznaczonych wzdłuż środkiem bryta, które przyczepiają się przy tylnym brycie sukni. Brzegi draperyi również zfałdowane, schodzą się z sobą z przodu na boku i przykryte są rodzajem szarfy zfałdowanej i spuszczonej, na którą potrzeba prostego kawałka materyału 90c. dług. 56 szer. przeprowadzonego od tyłu do boku przez wierzch stanika.

(d. n.)



N. 32. Kapelusz okrągły „amazonka".



N. 33. Duży spacerowy wachlarz z piór.

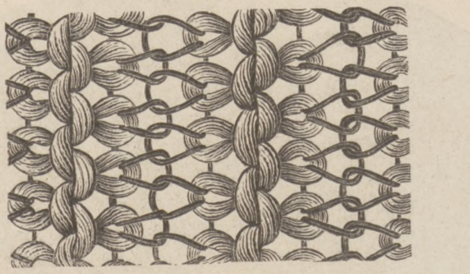


N. 39. Paletot wcinany z kamizelką. Zob. przód i krój na ryc. 40 oraz ryc. 13 i 14.

N. 27 — 28. Paletocik z pelerynką, dla dziewczynki lat 3 — 6.



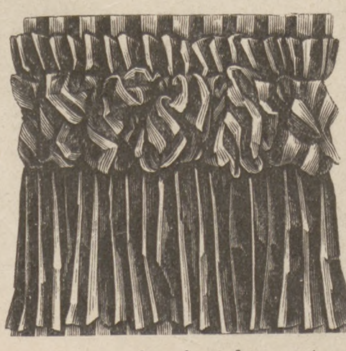
N. 40. Paletocik z kamizelką wcinany do figury. Plecy na ryc. 39, krój N. I, Fig. 1—9a. Zobaczyć także ryc. 13 i 14.



N. 42. Próbka roboty na drutach do ryc. 25.

Odszyty z materyału wełnianego piaskowego koloru, ma brzegi dolne, mankiety i pelerynkę przestębnowaną sześć razy; kołnierz, klapki przy kieszonkach i kokardy z bronzowego atłasu; guziki złocone.

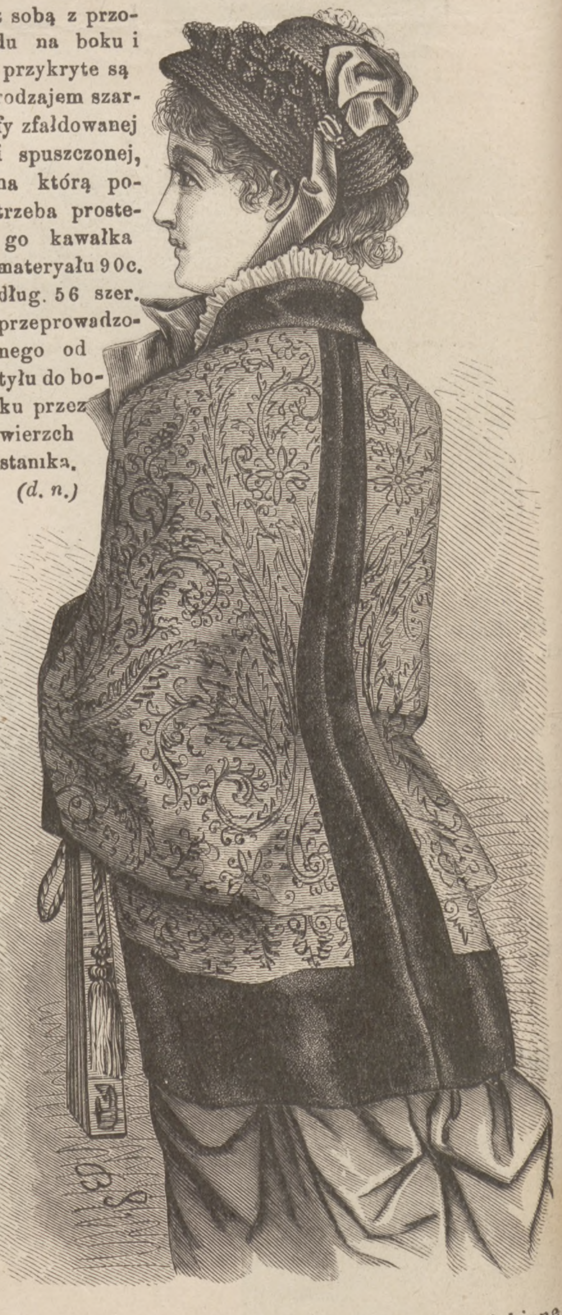
N. 29. Suknia z draperyą spuszczoną nakształt szarfy.



N. 43. Garnirunek z materyału w paski złożony z plisowania i skośnie przemarszczanych bufek.



N. 44. Garnirunek z gładkiego materyału. Bufki przemarszczane i falbany ułożone w fałdy.



N. 41. Okrycie z szerokiemi rękawami, ozdobione haftem. Zobaczyć ryc. 36 i 37. Krój N. II, Fig. 10 — 13c.



Pl. 461.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.